



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład:
40.000
Redakcja:
Oszyńskiego 16
Administracja:
Oszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 14 listopada 1918 r.

Nr 46 (207)

JAN PARANDOWSKI

STEFAN ZWEIG

RZADKO czytywałem „Krakauer Zeitung” i może dlatego tak wyraźnie pamiętam jedną z nielicznych godzin, które zmarnowałem na tę lekturę. Musiało to być z początkiem marca, bo wspomnienie wiąże się z powiewem przedwiośnia, z chmurną przedwieczorną porą, gdy góra ciągnął ożywczy ciepły wiatr. Znalazłem wówczas w kronice gazety krótką, pogardliwą notatkę o śmierci Stefana Zweiga, który jakoby wraz z żoną popełnił samobójstwo. Mówię: jakoby, ponieważ nie wierzyłem w to ani przez chwilę. Wszystko trąciło wymysłem: i to, że w Brazylii i to, że żona.

Kiedy go poznałem, Stefan Zweig nie był żonaty, co więcej wydawał mi się ogromnie przekonany o wyższości celibatu. I cóż by robił w Brazylii, podczas wojny, mając swój dom w Londynie? Dopiero po wojnie stwierdziłem, że notatka „Krakauer Zeitung” zawierała prawdę, rzecz tak niezwykłą. Długo nie mogłem się otrząsnąć ze zdumienia, ta śmierć była dla mnie zagadką aż do chwili, gdy przeczytałem „Świat wczorajsz” — ostatni, zła grobu głos Zweiga. Okazało się, że przyniósł go ruiny jego epoki i że poza nią nie miał już sił do życia. Podobnie brakami ufności i odwagi zgryzowała o dwa lata wcześniej Virginia Woolf.

I to mordercze zwątpienie dosięgło Stefana Zweiga na tym samym słonecznym kontynencie, gdzie wydal mi się tak świeży, pogodny i z taką swobodą kroczący po drogach świata, którego czuł się obywatel.

Spotkałem go w Buenos Aires, na kongresie PEN. Mieszkaliśmy w tym samym hotelu, jak wszyscy. Ociągając się wiosną argentyńskich wszystkich nabawiła kataru, Duhamelowi chrypką odjął głos, ja obawiałem się grypy, mnie tym bardziej martwiło, że nazajutrz był zapowiadany mój wykład na uniwersytecie o literaturze polskiej. Stefan Zweig doradził mi zażegnać niebezpieczeństwo koniakiem. Usiadłszy zatem w hallu hotelowym.

Rozmowa zaczęła się od Duhamela i Julesa Romainsa, których kandydatury były stawiane jednocześnie na opuszczoną przez Welsa prezydenturę federacji PEN.

— To ich ostatecznie poróżni — martwił się Zweig. — Znam ich obu tak dawno, dla obu mam uczucia tej samej przyjaźni, i pan rozumie jaka to dla mnie przykrość patrzeć na pogłębiającą się z latami niechęć tych dwóch niegdyś nierozłącznych kolegów. Wszystko, co robiłem, by ich pojednać, było daremne.

W istocie, dwaj pisarze nie ukrywali przed nami swej animozji, często w publicznym przemówieniu jeden lub drugi wsuwał cień, który był dla wszystkich widoczny. Jakże by się ucieszył Zweig, widząc, że dziś się pogodzili, i jakże by się zdziwił, że się to dokonało właśnie w Akademii Francuskiej, którą Duhamel tak się wówczas szczycił, a od której Jules Romains tak się odżegnywał.

Zaczęliśmy obgadywać cykl „Les hommes de bonne volonté”, którego tomy tak szybko się mnożyły.

— Jules Romains — rzekł Zweig — ma ambicję Balzaka i płodnością niewątpliwie mu dorówna albo go nawet przewyższy, choćby dlatego, że jest zdrowszy i nie wyczerpuje swych sił wariackim trybem życia. Ale jest również niewątpliwie, że w jego dziele będzie więcej słabych stron, ponieważ ogarnia w nim tematy, których nie może ani znać, ani zbadać gruntownie.

— Myślę o tym samym — odparłem. — Dopiero co czytałem tom pt. „Mission à Rome” i uderzyła mnie banalność drastycznych epizodów, jakby źle przeprawionych plotek, a potem na wpół dziennikarski referat o akcji ambasadora niemieckiego. Rozczarował mnie również obraz Rzymu, w którym nie czuje się powietrza, zapachu, ducha tego miasta.

Tak zaczęliśmy mówić o Rzymie, z tego wyłoniła się krótka dygresja o „Quo Vadis”.

— C'est un très bon roman — rzekł Zweig, odpierając przekąsy, z jakimi się dziś mówi o Sienkiewiczu, zwłaszcza we Francji, która w początkach naszego stulecia przeżyła największy sukces tej książki.

Rozmowa przerwała dwie panny, które poprosiły nas o autografy „avec une pensée”. O każdej porze dnia aż do późnego wieczora odbywał się ten

pościg za autografami, każdy z nas miał inną metodę w zaspakajaniu pententów. Jedni improwizowali zrzeczne słówka, stosownie do osoby, inni wypisywali w swym ojczystym języku niezrozumiałe zdania. Chińczyk, niezmiennie uprzejmy, był poszukiwany dla pięknej kaligrafii swych tajemniczych hieroglifów, Marinetti ogromnymi literami rzucał na kartę jakiś oszołamiający okrzyk. Nie wiem, co napisał Zweig, który, oddawszy pannom sztambuchy, strzepnął palcami i mruknął:

— Nonsens.
— Czy nie uważa pan jednak — rzekłem — że w ten może naiwny, może nawet beznadziejny sposób przejawia się kult dla rzeczy najbardziej osobistej, najbardziej znajomiej u pisarza — dla jego pisma?

— Nie cierpię autografów. Co jest u pisarza naprawdę cenne, naprawdę piękne, to nie podpis, a nawet nie zdanie czy wiersz, rzucone pod wpływem banalnej okoliczności, ale rękopis, prawdziwy rękopis, pejzaż jego myśli twórczej.

I z wielkim ożywieniem zaczął opowiadać o swej zdumiewającej kolekcji rękopisów. Czego w niej nie było! Były tam utwory Rilkego, obu Mannów, Romain Rollanda, Gide'a, ale i takie dziwki, jak wiersze Rimbauda, „La messe d'un athée” Balzaka, a nawet — tu spojrzał na mnie z tryumfem — jeden z sonetów krymskich Mickiewicza!

— Ale to jeszcze nic. Moją prawdziwą pasją były katalogi rękopisów i autografów. Mam ich trzy tysiące. Nikt mnie w tym nie przewyższył.

— Chyba Bonnard.

— Jaki Bonnard? — Zweig poruszył się niespokojnie.

— Sylvestre Bonnard, membre de l'Institut.

— Ach, tak! — I roześmialiśmy się obaj. Za cieniem Sylwestra Bonnarda nadciągnęło wspomnienie Anatola France'a, mówiliśmy o nagłym upadku jego sławy.

— Jego dzieła zbiorowe zupełnie leżą, wie pan?

Ten handlowy zwrot ożywił we mnie chęć poruszenia spraw, które od dawna mnie zaprzątały, spraw niewątpliwie drażliwych i zastanawiających, czy nie uchybić grzeczności, na jaką nikt bardziej nie zasługiwał niż ten miły człowiek o życzliwym uśmiechu i łagodnym głosie. Siedzieliśmy obok siebie, tak bliscy przez sympatię dla tych samych rzeczy i pojęć, a tak dalecy wszystkim co było w nas nieznanne.

Przyniesiono nam jeszcze po kieliszku koniaku i widząc, jak Zweig podnosi swój kieliszek do oczu, jak po-

woli go obraca, jak rozchylają mu się nozdrza, łowiące zapach napoju, ośmielony sybarytyzmem, który się zdradził w tych paru nieznacznych gestach, rzekłem:

— Mówiono mi, że jest pan bardzo zamożny.

Skinął głową, ale było widoczne, że nie ma zamiaru o tym się rozwodzić.

— Moje pytanie — wyjaśniałem — nie było natury ekonomicznej, ale literackiej.

Zdziwił się, musiałem więc przejść do właściwego tematu.

— Bo widzi pan, z uwagą śledzę pańskie książki i jeśli nie wszystkie czytałem, wiem zawsze co pan pisze i wydaje. I oto patrząc na pańską twórczość, zastanawiam się, co pana skłania do tak dalekich skoków wśród postaci historycznych, które pan opracowuje. Maria Antonina, Erazm z Rotterdamu, Magellan — zdumiewa mnie ta łatwość przenoszenia się w tak różne światy, z których każdy wymaga nie tylko wielkich studiów, ale i osobnego przeżycia.

Zweig słuchał z głową opartą na dłoni, spokojny, ale przenikliwie patrząc mi w oczy.

— Powiedział pan: zdumiewa. Czy nie chciał pan powiedzieć: niepokoi albo gorzej? Teraz rozumiem, dlaczego pan pytał o moje finanse. Wyglądam na groszorbę...

Przez hall przeszedł Emil Ludwig i z daleka przesłał Zweigowi powitalny gest ręką, prawie dix huitième siècle. Wymieniliśmy uśmiechy.

— Nie — rzekłem — nie porównywał pana z tym komiwojażerem historii.

— Moje podróże wśród epok i ludzi — mówił Zweig — nie wynika z żadnej kalkulacji, lecz jest być może wadą mojego temperamentu intelektualnego. Zbyt wiele rzeczy mnie zaj-



Stefan Zweig

muje, a nie wystarcza mi samo czytanie. Zetknąwszy się z jakąś pociągającą indywidualnością, nie umiem się oprzeć pragnieniu, by ją przeżyć i przedstawić. Tak musi odczuwać malarz na widok twarzy i postaci, które chce sportretować. Jeśli mi los da jeszcze dwadzieścia lat życia i to zdrowie, którym się cieszę, będzie pan miał powód zadziwić się jeszcze nieraz moimi tematami.

Tu wywiązała się rozmowa o jego sukcesach, licznych przekładach. Westchnąłem nad ubóstwem tłumaczeń z literatury polskiej.

— Teraz — dodałem — są czynione starania, by wprowadzić trochę książek na rynek francuski. Robi się to w ten sposób, że Polska opłaca wszystkie koszty i gotowa książkę oddaje księgarzowi francuskiemu do sprzedaży.

Oczywiście, nie ponosząc żadnego ryzyka, księgarz mało się interesuje takim towarem. Jestem bardzo temu przeciwny, uważam, że nasze książki powinny być wydawane przez nakładców francuskich, na normalnych warunkach.

— Nie ma pan racji. Rynek francuski, tak samo jak angielski, jest trudny. Ale od angielskiego jest przynajmniej bardziej wygodny, właśnie dlatego, że tam można zawierać te transakcje, które pana niesłusznie rażą. Oczywiście, jeżeli się trafi na człowieka gnuśnego lub złej woli, zapłacony nakład przepadnie w piwnicach. Ale można trafić lepiej, najczęściej trafia się dobrze. To nie nie szkodzi opłacić parę książek, aby utworzyć drogę innym. Nie wstydzę się przyznać, że pierwsze przekłady moich książek więcej mnie kosztowały, niż przyniosły zysku. Ale dzięki nim miałem później normalne i coraz lepsze kontrakty. Tylko Niemcy są łatwo dostępne dla obcych autorów.

— Ale nie dla nas. Wiem o tym i ogólnie i z własnego doświadczenia. Chociaż teraz mam poważną propozycję, którą tutaj mi przesłano. Co pan o tym sądzi?

I pokazałem mu list wydawcy berlińskiego Gurlitta, który chciał zawrzeć umowę najpierw na „Dysk olimpijski”, potem na inne książki.

— To przyzwolita firma — rzekł Zweig, oddając mi list. — Ale Gurlitt głównie jest znany jako „kunsthandler”.

Dał mi jeszcze kilka innych informacji, na sam koniec zachował niespodziankę: odsłonił mi pewien sekret z kursu olimpijskiego, mówiąc o intrygach, jakie ścigały moją książkę.

— Niech się pan nie dziwi: mam tyle znajomości, tak wiele obracam się w świecie, że sekrety literackie lgną do mnie z łatwością, a moja usłużna pamięć pozwala mi zawsze skorzystać z nich w stosownej chwili.

Wypytywał się jeszcze o tłumacza, a posłyszawszy nazwisko Kaczkowskiego, zaczął chwalić jego przekład „Chłopów”.



Stefan Zweig

— Trochę się pan dziwi, że znam to i owo z literatury polskiej. To przez stary sentyment. Jestem Austriakiem i nie tak dawno razem z kilku milionami Polaków miałem wspólną ojczyznę.

— Nie chciałbym pana urazić, ale ja nigdy nie uważałem Austrii za swoją ojczyznę.

Stefan Zweig milczał dłuższą chwilę, gładząc w zamyśleniu piękną skórzaną teczkę, którą przywiózł sobie z Rio de Janeiro.

— Tak — westchnął — W zetknię-

ciu z tymi sprawami czuję się zawsze jak człowiek innej religii wśród wyznawców obcego bóstwa. Wyzwoliłem się wcześniej z pojęcia narodowości w tym nieprzełamanym znaczeniu, jak się to wszędzie spotyka, a najwięcej w kraju, którego językiem myślę i piszę. Czuję się „u siebie” wszędzie, gdzie jest nasza wspólna kultura. Mieszkam w Londynie, bo tak mi się ułożyły stosunki ostatnio — i jest mi tam dobrze, ale, gdy wysiadam z okrętu w Nowym Jorku, dotknięcie ziemi amerykańskiej budzi we mnie ten dreszcz, który łączy się z myślą, że oto słońce, które nade mną świeci, odliczy mi z pewnością szereg dobrych dni. O Paryżu nie mówię, bo każdy jest zakochany w Paryżu. Ale oto widok tej teczki przynosi mi obraz Rio, czarujący, i nadzieję, że to miasto ma dla mnie jeszcze nie przeżyte czasy.

Wesliśmy z zapalem w rozpamiętywanie urody Rio, którą ja poznałem z przelotnej wizyty, a ponieważ miałem tam jeszcze spędzić dzień w drodze powrotnej do Buenos Aires, Zweig spał mi na odwrocie listu Gurlitta dzielnicę godną widzenia.

Gawędziłszy jeszcze z pół godziny. Z poprzednich tematów, ostatni — obywatelstwo świata — odzywał się nie raz jak powracający motyw. Nie pamiętam czy Zweig palił — chyba nie, ponieważ go nie widzę za zasłoną dywanu. Widzę go z rumianą twarzą, lśnącymi oczami, wygodnie siedzącego w fotelu klubowym, — co jakiś czas odwracał głowę i z przyjemnością patrzył na tłum ludzi w hallu, pisarzy wszystkich krajów, z których tak wielu znał już od dawna razem z ich ojczyzną. Któżby śmiał wówczas pomyśleć, że właśnie Rio, cudowne Rio, stolica „pays de Cocagne”, jakeśmy je nazwali, syrenim głosem zwabi go w śmierć przedwczesną?

NEDAWNO znakomity pisarz prezes brazylijskiego PEN Clubu, Claudio de Souza, przesłał mi swoją książkę pt. „Os ultimos dias de Stefan Zweig”. W niej znalazłem, jeśli nie pełne rozwiązanie zagadki, to wiersza opowieść o tragicznym końcu tego Europejczyka.

Zweig opuścił Europę po roku wojny, był jakiś czas w Stanach, brał nawet udział w zakładaniu dysydenckiego PEN-Clubu, nieopatrzonej i niewłaściwej akcji Julesa Romainsa, później osiadł w Brazylii. Wybrał sobie na mieszkanie Petropolis, spokojniejsze od Rio, a niemal równie piękne. Zajmując z żoną mały dom pod palmami, prowadził życie ciche, stronił od tłumnych zebrań. Wymawiał się żalobą po tylu przyjaciółach, towarzyszach, kolegach po milionach ofiar z jego plemienia. Coraz głębiej odczuwał swoje wydziedziczenie. „Jestem człowiekiem bez praw i bez ojczyzny”. Mówił o wszystkich upokorzeniach, jakie go czekały w urzędach, w przedpokojach, w konsulatach — na reszcie tulącego życia.

Raz jednak udało się go wyciągnąć do Rio na widowisko nocy karnawałowej. Z początku rozmarzony i obojętny, uległ w końcu jego niesamowitej barwności. Zwiędział ulicę po ulicy, miewał się z rozbawionym tłumem, robił notatki pod feerią światła. Nazajutrz popełnił samobójstwo wraz z żoną, 23 lutego 1942 roku. „Jakże słodko żyć w Petropolis” — pisał w liście do prefekta miasta. Tym westchnieniem zębał baśniowy kraj słońca i spokoju, w którym nie widział dla siebie przyszłości. Brazylia oddała mu najwyższe honory. Wszystkie władze, prezydent republikańskiej wraz z całym rządem, wszystkie towarzystwa naukowe, literackie, artystyczne odprowadziły go do grobu.

Usadek Singapore'u (15 lutego 1942) zaważył ostatecznie na szalach jego zwątpień i nadziei. Zweig stracił wiarę w zwycięstwo aliantów. Mówił, że wali się imperium brytyjskie i że pociągnie za sobą zagładę świata. Na wszystkich kontynentach wszędzie szatański sztandar Hitlera. Nie będzie już ani wolności, ani Europy, ani żadnej ojczyzny. Ten drogienny wyraz, w latach szczęśliwych odsuwany, wrócił do niego w dniach zgrzyzoty, powtarzał się we wszystkich listach, które znalazłono na biurku po jego śmierci. „Nie ma wątpliwości — pisze mi Hermann Ould — że on nienawidził tulaczki w północnej i południowej Ameryce, był w swej najbliższej istocie Europejczykiem i nie mógł znieść myśli o stałym wygnaniu”.

Jan Parandowski

DZIEWCZYNA

STANISŁAW WYGODZKI

Z notatnika szpitalnego

We wstążkach wiatru jasne włosy,

na wstędze ścieżki smukłe nogi

i palę liche papierosy

niezwykle wesoł i boki.

Nie m'jaj pieśni tej dziewczyny.

nie m'jaj oczu, ust ni dłoni.

I tak zostanie mi jedynie

ten wieczór co się nam ukloni.

I tak odbiegne jak ta wstęga

wiatru, ścieżki i spojrzenia

noca spięty, tak jak księga.

klamrą dali i milczenia.

SPIEW

I w czasie gniewu

i w czasie ognia

bliżej do śpiewu

nocą i co dnia

i bliżej gromom

i dalej nieba,

gdy po kryjomu

placzesz w pogrzebach,

nieustający,

niezwyciężony

ranny i drżący,

ale nie konasz,

gniewny i śmiały

bitew i kłeski

w ogniu wystrzałów

śpiewie zwycięski,

w kształcie — strzępiasty,

w kształcie — wysoki

idziesz przez miasto

po moje zwłoki

WŁODZIMIERZ MAJAKOWSKI

przełożył JAN BRZECHWA

Rozmowa z inspektorem podatkowym o poezji

Obywatelu inspektorze! Przepraszam z góry...
Dziękuję... proszę się nie trudzić...
Chodzi o sprawę delikatnej natury:
o miejsce poety w socjalistycznym ustroju.
Narówni z tymi, którzy są bogaci
podlegam obciążeniom i karom z tej racji.
Za sześć miesięcy pięćset ode mnie żądacie
i dwadzieścia pięć za niezłożenie deklaracji.
Praca moja każdej pracy jest pokrewna.
Preszę spojrzeć — strąć miałem nicmało,
wielkie koszty produkcji, to rzecz pewna,
a jakie zużycie materiału.
Oczywiście, wiadomo wam co to są „rymy”.
Powiedzmy, wiersz kończy się wyrazem „ojca”,
wtedy w kolejnym wierszu zgłoski powtórzymy
i wstawimy jakies tam „o j. c a d r y c a — o j. c a”.
Mówiąc po waszemu, rymy to rewersy.
Trzeba je dyskutować co drugi wiersz, w dodatku.
I szukasz drobniagowo końcówek do wierszy
w opróżnionej kasie czasów i przypadków.
Zaczynasz to słowo wypychać do utworu,
a ono nie wchodzi — naciśniesz i złamiesz od razu.
Obywatelu inspektorze, słowo honoru,
po kopiejkę pocie licze od wyrazu.
Mówiąc po naszymu, rym to becicka.
Becicka z dynamitem. Wiersz jest lontem.
Wiersz się dotli, eksplodują słoweczka, --
i miasto leci strefą nad horyzontem.
Gdzie znajdziesz rym? I cenę wymów
za rymy, co zabiją, gdy się nimi strzelili.

Może pięć takich niebywałych rymów
zostało jeszcze gdzieś w Wenezueli.
Południa znój pociąga mnie i chłód północy.
W załączki i pożyczki rzucam się na zmianę.
Obywatelu, odliczcie koszty lokomocji!
— Poezja — cała! — jest jazdą w nieznaną.
Poezja — to tak samo, jak rad
Dla wydobycia gramu — wieloletnie trudy
Dla jednego słowa zmarnujesz, rad,
tysiące ton językowej rudy.
Jak spopielają słowa co tak płoną,
jak są te słowa — surowce gorące,
jeżeli mogą poruszać milionom
serca przez lat tysiące.
Poeci, oczywiście, są na różny gust
Iluż poetów posiada dłoń zwinną
Wiersz wyciągają, jak sztukmistrze z ust
sobie i innym.
Cóż mówić o ofiarach lirycznych kastracji?
Chętnie do swego cudzy wiersz wstawiają.
To pospolite złodziejstwo i defraudacja,
w rodzaju tych, co się panoszą w kraju.
Te dzisiejsze wiersze i ody,
które w oklaskach, rycząc, wiodą rej,
przejdą do historii jako normalne rozchody
na to, cośmy zrobili my — dwaj, albo trzej.
Zjesz, jak to się mówi, pud soli stołowej
i z setki papierosów puścisz dymu kłęby
na to, żeby wydobyć drogocenne słowo
z artezyjskich ludzkich głębin.
Od razu się podatek obniża w ten sposób.
Niechby zatem z wymiaru obręcz zera znikła!
Rubel dziewięćdziesiąt setka papierosów,
rubel sześćdziesiąt — sól zwykła.
W waszej ankiecie pytacie mnóstwo razy:
— Był wyjazd? Nie było wyjazdu?
A co jeśli tuzin pegazów
zajeżdżałem w ciągu lat piętnastu?
Zapytujecie mnie jeszcze pokrótce
o służbę, o majątek — w tym rogu u spodu.
A co jeśli jestem narodu przywódcą,
a równocześnie — sługą narodu?
Klasowy głos z naszego słowa się odzywa,
a my, proletariusze, motory pióra z nas.
Z upływem lat maszyna duszy się zużywa.
Mówią nam: — do archiwum, wypisał się, już czas!
Już kocham coraz mniej i mniej porywu w pracy
i czoło moje czas z rozpędu kruszy.
Nadchodzi najstraszniejsza spośród amortyzacji —
amortyzacja serca i duszy.
Gdy słońce wieprza spasionego wzlotem

wезде nad przyszłym światem bez nędzarzy,
ja będę gnili już skonawszy pod płciem
cbok dziesięciu kolegów - pisarzy.
Zamknijcie, proszę, bilans mego życia.
Twierdzą i — wiem — nie kłamię przez minutę
na tle kombinatorów których dziś widzicie,
ja tylko — jeden! — okażę się bankrutem.
Nasz obowiązek — wyć syreny rykiem
we mgle mieczczaństwa w burzach nad odmetem.
Poeta jest zawsze wszechświata dłużnikiem,
płacącym te nieszczęsne kary i procenty.
Dług mam wobec Broadwayu gdy światłem zabłyśnie,
i wobec nieba, które nad Bagdadą zwisa,
wobec Czerwonej Armii i japońskich wiśni,
wobec wszystkiego, o czym nie zdążyłem napisać.
A na co w ogóle ta czapka Sekwanie?
Ażebym rym był celny i rytm wyraził?
Słowo poety — to wasze zmartwychwstanie,
to wasza nieśmiertelność, obywatelu kancelisto
Za setki lat w papierowej ramie
wiersz do obecnego cofnie was momentu,
I wstanie dzień ten dzień z inspektorami,
z blaskami cudów, z edorem atramentu.
Inspektorze dzisiejszy, jadąc w nieśmiertelność
niechby choć z bezpłatnego biletu korzystał
a przerachujcie nadto wierszy celność
i rozłóście zarobki moje na lat trzysta.
Ale siła poety wcale nie tkwi w tym,
że was, w przyszłości, wspomni czkawką świat.
Nie! I dziś przecież poety każdy rym —
to pieszczota i hasło, i bagnet i bał!
Obywatelu inspektorze, wyplacę wam pięć,
a te zera przy cyfrze poznoście.
Z samego prawa należy mi się pięćdziesiąt
wśród najbiedniejszych robotników i włóciar
A jeśli wam się zdaje, że gdy wiersze piszę,
posługuję się tylko cudzymi wyrazami,
to oto moje wieczne pióro, towarzysze,
i — proszę — piszcie sami!

Z WYSTAWY JANA LENICY



DZIECKO WIELKIEGO MIASTA

Z WYSTAWY JANA LENICY



RYSUNEK SATYRYCZNY

Zofia Nałkowska

o „Węzłach życia”

— Klub „Odrodzenia” niejako tradycyjnie przeprowadza rozmowy z autorami swych książek i w ten sposób zbliża wielotysięczną rzeszę swych członków do osoby pisarza. Czy nie zechciałaby więc pani powiedzieć słów kilka o swoich „Węzłach życia”, które ukazały się jako płała książka klubowa? Mam na myśli czas powstania utworu, którego fragmenty były publikowane przez dwoma laty w „Odrodzeniu”. Wskazywałbyś to na...

— Oczywiście — przerywa pisarka — jest to jedyna moja książka pisana tak długo. Z dużymi wprawdzie przerwami, ale w ciągu całych dziewięciu lat. Przez czas wojny — raczej w postaci notatek i planów. A później, gdy już rozpoczęło się drukować „Odrodzenie”, musiałam przerwać robotę nad tekstem z powodu udziału w pracach Komisji Badania Zbrodni Niemieckich. Weńście w ten świat oderwało mnie od tematyki rozpamiętywania a siła doznanej wrażeń zmusiła do pisania „Medalionów”. Wiele innych takich przenikniętych wywołano powstanie nowej serii „Charakterów”. Wreszcie podjąłem dawno zamysłoną „Książkę o ojcu”, której trzy początkowe rozdziały drukowałam w „Kuznicy” i „Nowinach Literackich”. Po czym przerwałam i tę pracę, aby powrócić do „Węzłów życia”, których część trzecią i ostateczną redakcją całość ukończyłam przed dwoma tygodniami.

— Czy czas powstania łączy się z tematyką książki, której akcję rozpoczynają pierwsze miesiące 1939 roku?

— Zapewne tak. „Węzły życia” od początku miały być książką o ludziach pokolenia, które wyszło z Legionów i doszło do Września. Rok trzydziesty Dziewiąty stał się miejscem, z którego spojrzenie wszech uawniło niektóre odcinki tej drogi, nie dającej się zresztą ująć jedną oceną.

— Jak należy tłumaczyć tytuł „Węzły życia”? Czy jest to pełna symbolika legitymacji utworu czy też realne wyznaczenie tematu?

— Jeszcze w „Niedobrej miłości” a później w „Granicy” zajmowało mnie zjawisko wzajemnego określania się ludzi przez ludzi, wyznaczania sobie miejsca, nawet kształtowania charakterów. „Nic nie jest samo” — wszystko wysypuje w uwi-

klaniu. Ojawnienie tych powiązań jest dla mnie trwałą pisarską pokusą.

— Czy wierzy pani w swoją drogę?



Zofia Nałkowska

gę plastycznej wizji czy w intelektualne powołanie postaci do życia?

— Wzruszenie, stanowiące powód pisania, powstaje zarówno przez fakt brania udziału w przebiegu zdarzeń, jak dostrzeżenia czy odkrycia tkwiącej w nich problematyki. „Intelektualizm” występuje przy wyborze, przy odrzucaniu nieprzebranego mnóstwa materiału, wyodrębnianiu tematu spośród wszystkiego, co nim nie jest — przy tym, co po krótko nazywa się budową utworu.

— Jaka jest preporęka autentyczności faktów i postaci — do fantastyki?

— W książce tej — proszę pana — niczego nie wymyślałam. Jej ludzie

i sprawy wydają mi się całkowicie prawdziwe, choć żadna z postaci nie odpowiada ściśle modelowi.

— Czy „Węzły życia” to powieść

jeszcze za bliska jest sprawa, którą podejmuję. Rok Trzydziesty Dziewiąty będzie u nas, jak sądzę, długo jeszcze pociągł pisarzy i jego straszliwa wymowa znajdzie na pewno pełny epicki wyraz w dziele twórczym. Z mojej strony mogłam uwidocznić tylko poszczególne składniki tego bardzo złożonego zjawiska. Te mianowicie, w obrębie których znalazłam się, których ostatnie drgania sejsmiczne mnie dosięgły. W tej też oczywiście mierze jest „polityczna” czy „społeczna”, czego jednak ustalenie muszę pozostawić innym, lepiej ode mnie znającym zakres tych pojęć.

— Bardzo ciekawa dla czytelnika i dla krytyki jest nie tylko opinia pisarza o stworzonym przezeń dziele, ale sąd jego o miejscu, jakie wyznacza dla tego dzieła w hierarchii innych swoich utworów. Jakiej miejscy zajmują „Węzły życia”?

— Każdy przemijający rok potrzasa tą — wspomnianą przez pana — hierarchią i przestawia jej pozycję. Na ogół do całej mojej twórczości odnoszę się dość nieufnie, ceniąc najbardziej zwykle książkę ostatnią — w tym znaczeniu, że biorąc za nią odpowiedzialność.

— A zamiary na najbliższą przyszłość?

— Po odpoczynku, na który zażyłam, pracując przez wszystkie te miesiące w tempie przyspieszonym i bez wytchnienia (praca udziałem w jury nagrody „Odrodzenia” i w kongresie wrocławskim, co wytchnieniem nie było), powrócę do pisania „Książki o ojcu”, którą zamówił u mnie Państwowy Instytut Wydawniczy. Poza tym tenże instytut wyda wkrótce moje „Charaktery”, „Dawne i nowe”, wydawnictwo „Książka” — „Wybór Pism”.

rozmowę przeprowadził

Józef Słowiński

ARTUR SANDAUER

Nowe wiersze Mieczysława Jastruna

Podjęmowane od lat bez mała piętnastu przez krytyków, m. i. przez niżej podpisanego, próby określenia Mieczysława Jastruna już to jako klasyka awangardy już to jako pierwszego u nas — na europejską miarę — symbolisty, jakkolwiek niezupełnie być może wolne od schematyzmu, zdolny jednak ukazać osłabłości tej poezji: jej techniki skłócenia, wielowarstwowość jej znaczeń, jak i uświadomienie w niej podczas okupacji przełom: przejście od poezji bezczasowej do dzieła, w której w najszerszym, bo normującym tego słowa znaczeniu, aktualnej. Toteż przez rok temu na tychże łamach o „Wierszach wybranych” przewidziałem dalszy rozwój poety po nakreśleniu przez okupację „Godzinę strzeżoną” drogach; przewidywania, które wydany świeżo „Sezon w Alpach”¹⁾ częściowo tylko spełnia.

Już choćby dlatego, że „Sezon w Alpach” jest — zwłaszcza w pierwszej swojej części — dziennikiem podróży. Po raz pierwszy w tej, tak bardzo wewnętrznej i tak bardzo krajowej poezji pojawia się przeżycie — i cena — Zachodu, a — ściślej — tej jego części, która, nie doświadczona żadną z przeżytych przez nas katastrof, umieszcza nas, przybyszy z wieku XX w nieoczekiwanym wieku XIX. Ta, niepozabawiona urokiem, podróż w przestrzeń zarazem i w przeszłość ma jednak i swoje niebezpieczeństwa: czy możemy my, z rannych i z martwych powstań, my, własnii pogrobowcy, znieść tę nazbyt ostalą, tę nazbyt dla nas — rzekłbym — bezpieczną atmosferę? Reakcje bywały tu niekiedy mylne i przesadne: nie tak dawno jeden z naszych najbardziej popularnych poetów satyrycznych, przybyszy do Szwajcarii, stwierdził w niej nadmiar spluwaczek. „Nawet na podłogę spluć nie wolno” — skonstatował w napisanym z tej okazji wierszu, oburzony. O słuszności tego oburzenia pozwał sobie wątpić: nie wydaje się nam, jakoby Zachód godzien był potępienia nawet w swych spluwaczach. Antybarbarzyństwo nie powinna się przeradzać w antycywilizacyjność: nie potępiamy u innych nadmiaru tego, na niedostatek czego cierpimy sami.

Przeżycie Szwajcarii jest w zbiorze Jastruna inne i głębsze: otwarty na jej urok, na piętno patyny i średniowieczny jej miasteczko, dostrzega jednak zarazem ową tak dla każdego z nas, kto na Zachód przybywa, uderzającą ahistoryczność tamtejszego życia, nieodmierzanego, jak u nas krękami planów i spełnień, ahistoryczność, objawiającą się w życiu psychicznym — jak o nuda. „Cezar idąc przez Alpy czuł nudę tych gór” pisze we wstępnym poemacie Jastrun. Nie wdając się w sprawowanie trafności odczytania, nie możemy się oprzeć wrażeniu, jakoby nuda ta była świeższego pochodzenia: to przylgnęła do Alp spódnica szwajcarskich hotelarzy i amerykańskich turystów.

¹⁾ „Sezon w Alpach”. Sp. Wyd. „Książka”, 1948

„Miasteczko na dloni” Jana Drdy, przłożone u nas przez Zdzisława Hierowskiego i wydane w „Awrze”, wyszło obecnie po norweską w przekładzie Olava Ryttera, w Bergen.

Polski film o czeskim poecie. Polski reżyser S. Ferski nakręcił w Karloviej Galerii w Pradze krótkometrażowy film o czeskim poecie Jerzym Kowasku ze Lwowa, gorącym przyjacielem Polski, który gromadził wielkie zbiory polskich pamiętek.

„Fabryka absolu” Karola Czapka ukazała się w wydawnictwie prasowym Borowego w ósmym wydaniu, z ilustracjami zamówionymi przez Niemców Józefa Czapka.

Szwajcaria dla czeskiej nauki. Szwajcarska instytucja „Don Suisse” oficjalnie Uniwersytetowi i Politechnice praskiej cenne kolekcje dzieł naukowych, głównie z dziedziny medycyny, archeologii, historii, architektury i rolnictwa.

Życie Juliusza Fuczika. Znany czeski dziennikarz i pisarz, Juliusz Fuczik został w roku 1942 rozstrzelany przez Gestapo za pracę konspiracyjną. Po wojnie wydano pisany przez Fuczika w więzieniu i uratowany dzięki jednemu ze strażników więziennych wspomniany „Reportaż spod szubienicy”. Książka ta ukazała się również w Polsce, w przekładzie H. Gruszczyńskiej-Dubowej. Obecnie donoszą z Moskwy, że absoluwentka tamtejszego Instytutu Kinematograficznego M. Dobryna, opracowała biografię bohatera naszego pisarza na scenariusz filmu. Materiał zebrała M. Dobryna podczas swego pobytu w Pradze.

Na cześć Warszawy. Jedno z najpiękniejszych kin w nowoczesnej dzielnicy Pragi czeskiej, na Karlovych Vinogradach, otrzymało nazwę „Warszawa” — dla upamiętnienia jak podkreślono w przemówieniach, bohatera powstania warszawskiego ludu przeciw niemieckim najeźdźcom.

Pomnik Mickiewicza. Staraniem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Cze-

skiej i Miejskiej Rady Narodowej w Karlovych Varach zostanie na powrót wzniesiony pomnik Mickiewicza, zniszczony w tym mieście przez hitlerowskich okupantów w czasie wojny.

Nowy uniwersytet. Pierwszego października rozpoczęły się w Filiznie wykłady na fakultecie pedagogicznym, który jest na razie częścią Uniwersytetu Karłowego w Pradze — ale ma się stać zaczątkiem nowej wyższej uczelni, która otrzyma także wydziały: lekarski, prawny i techniczny. Pilno jest, jak wiadomo, wielkim ośrodkiem przemysłowym i robotniczym.

Co przełożyli Czesi? W okresie powojennym przełożyli Czesi dwadzieścia cztery książki z literatury polskiej, podczas gdy u nas wyszło tylko dwadzieście przekładów z piśmiennictwa czeskiego. Wśród pisarzy współczesnych, których książki ukazały się w Pradze są: Andrzejewski („Noc” i „Ład serca”), Brzozowski, Dobraczyński, Zofia Kossak, Gębarczyńska, Kruczkowski, Malweta, Rusinek, Szmagłewska, Szeiburg - Zarembina, Wasilewska, Wiktor i Dygat. Z naszych klasyków przełożono na nowo: Mickiewicza, Słowackiego, Kreszowskiego i innych. Wkrótce wyjdzie w Pradze historia literatury polskiej.

Wymiona pisarzy. W roku przyszedł co miesiąc wyjeżdżać będą czterech pisarzy polscy do Czech i czterech pisarzy czeszy do Polski. Jest to doskonały sposób pogłębienia wzajemnej znajomości i przyjaźni.

O dziejach muzyki polskiej. Wielki czeski tygodnik „Kulturni Politika” przynosi wzmiankę o nowej książce polskiego muzykologa, prof. Zdzisława Jachimeckiego „Muzyka polska w rozwoju historycznym od czasów najdawniejszych do doby obecnej”.

Monografia o Tołstoju. W rocznicę urodzin Lwa Tołstoja ukazała się w Pradze krótka — stustronicowa — i bardzo tania monografia Wacława Chabe „Lew Nikolaiewicz Tołstoj”.

Wojciech Natanson

Książki • Książki • Książki

POWIEŚĆ

„FUNDAMENTY”

Jerzego Pytlakowskiego

Warszawa, Wydawnictwo „Prasa Wojskowa”, 1948, str. 453

Pytlakowski podjął temat wielki i odpowiadający. To jest jego zasługa. Oprócz niego żaden bodaj z naszych prozaików nie pisał dołą o powojennej odbudowie kraju. Pytlakowski pierwszy zainteresował się konkretnym, prawdziwym środowiskiem robotników i inżynierów — Państwową Fabryką Wagonów we Wrocławiu i uczynił to środowisko bohaterem powieści. To krok odważny, krok pionierski.

Ale... krok odważny nie zawsze jest krokiem szczęśliwym. Oddawszy zatem Pytlakowskiemu, co Pytlakowskiemu, trzeba przejść do bardziej szczegółowego rozpatrzenia „Fundamentów”, a później dopiero wyciągnąć ostateczne wnioski.

Powieść Pytlakowskiego składa się z trzech warstw, dość niechętnie przylegających do siebie. Pierwsza, w której żywił autor czuje się chyba najwobodniej, to warstwa faktów autentycznych, warstwa reportażowa. Tu mamy rzeczową relację z odbudowy Fabryki Wagonów, realistyczne opisy pracy zespołowej. Niestety, warstwa ta załamuje się w powieści najmniej mielsca. Autor, wbrew pozorom i własnej zapowiedzi na wstępie, nie zaryzykował uczynienia z historii odbudowy Paławagu osi fabularnej „Fundamentów”. O, niezbędna ekspozycja, nie więcej. A fabuła stanowi drugą, zupełnie odrębną warstwę powieści: warstwę awanturzystyczną. Demoniczna konspiracja, wyczyny detektywa-amatora Kobryńskiego, tragiczne losy młodego Brzozowskiego, pojawiające się i znikające tajemnicze figury-symboly, jak Brauchi — oto wątki i elementy, składające się na nieporadną sensacyjność fabuły „Fundamentów”. Nie trzeba domawiać, że te niecierpionowujące historie, zamiast uczynić książkę strawniejszą, podważają tylko jej sens ideologiczny i artystyczny. Wreszcie trzecia, słabsza z poprzednimi, warstwa powieści — to charakter. W tym miejscu zastrzegam się przed zbyt pochopnym twierdzeniem, jakoby w utworze, pretendującym do miana realistycznego, nie było miejsca na psychologię. To fałsz. Ale psychologia — to nie ustawiczne grzebanie się we własnym wnętrzu, nie maniakalne analizowanie abstrakcyjnych uczuć, nie motywowanie postępów człowieka przez różne od-

miłany niewyżytego erotyzmu (Poczar, Kama, Grabisz, Jadwiga i inni)! Bohaterowie powieści Pytlakowskiego, to jakas zbieranina historyków, pieczołowicie pielęgnujących swoją historię, narzucających ją otoczeniu, rozkładających na cząsteczki niezliczone nastoje i żale. U wszystkich — i kierujących odbudową Paławagu działaczy partyjnych, i szkodziących tej odbudowie ludzi podziemia — na pierwszy plan wysuwają się jakieś wielkie psychologiczne kompleksy — na ogół fałszywe i nieumotywowane, albo co najmniej roztumaniane, ale za to krzykliwe i pretensjonalne. Trudno oprzeć się wrażeniu, że tymi kompleksami autor usiłował zastąpić prawdziwe życie psychiczne swoich postaci, do którego nie umiał dotrzeć, posługując się inną metodą. Ale nie nie pomogło. Pozornie subtelne i złożone życie duchowe tych bohaterów, jakże ubogie jest w istocie! Pomyślmy tylko: jest rok 1945, rok ogromnych przemian, wielkiej wagi wydarzeń. Autor pokazuje nam aktywistów partyjnych, ludzi świadomych, ludzi z tradycją polityczną. Ale na przestrzeni całego, prawie pół tysiąca stron liczącego tomiska — towarzysze partyjni ani razu nie stoczyli dyskusji ideologicznej, nie zainteresowali się polityką — nie, Poczar umie tylko przeżuwać swoją krzywdę, samotność i miłość, Krawek odczuwa brak silnych przeżyć, Grabisz i Woliński są zżerani przez ambicję, a Gawlik w ogóle nie myśli. Nie, nie wierzymy Pytlakowskiemu, że Paławag odbudowywali ludzie ograniczeni, samolubni, a przede wszystkim — ludzie obcy sobie, nie zespoleni w kolektyw. Niepowodzenie artystyczne w tym miejscu urasta do rozmiarów oszczerstwa, rzucanego na bohaterów książki.

Pytlakowski podjął temat wielki i odpowiadający. I dlatego słowa krytyki są tu może ostrzejsze, niż, gdyby temat był blady. Pytlakowski jest pisarzem ambimym. Jest pisarzem — i to najważniejsze — partyjnym. Powinien wyciągnąć konsekwencje z tego nieporozumienia, za jakie uznać należy „Fundamenty”.

Wiktor Woroszyński

Zetknięcie z Zachodem rozszerzyło zresztą poezję Jastruna nie tylko tematycznie: jego — obca dotychczas francuskiemu, podległa natomiast przede wszystkim rodzinnym, dalej zaś rosyjskim i niemieckim wpływom — twórczość wzbogaca się tu o nową nutę: prócz nieznanych i raczej do poszczególnych wyrażen ograniczających się odgłosów Apollinaire’a znajdujemy tu znacznie głębiej sięgające zbliżności z poezją Aragona. Dokonane w tej

w mojej twarzy nienawistnie zakocha-

„Ten wiersz, jak i wiele innych w tym zbiorze, wprowadza nas w powrót do kłopotów dawniej problematyki Jastruna, która — w czasie okupacyjnym i bezpośrednio powojennym poniekąd — przeżywa u niego obecnie okres odrodzenia. Zapewne, nie bardziej naturalnego i — rzec by można — pocieszającego, niż dokonujący się u nas, nie tylko w poezji, powrót w

pokoju: współistnienie w jednym zbiorze składników poezji Jastrunowej zasiedziają się i wyrażają przez się, siedząc, podniecając się jak gdyby do ostatecznego konfliktu. Gdy z jednej strony niepokojona eteryczność przedwojennej poezji Jastruna osiąga swój szczyt w pewnych opisach Szwajcarii, której krajoznawcy potwierdzają niejako od zewnątrz wewnętrzny pejzaż poety i podkładają swe śniegi rzeczywiste pod jego śniegiem pisane wizje, to z drugiej strony napływ realiów, który — w pierwszych powojennych zbiorach Jastruna — mięsi się jeszcze jako tako w ramach jego dawniej estetyki, teraz grozi rozsadzeniem jej formalnych rygorów, modyfikacją samego sposobu widzenia; i poezja ta, która wykluczała dotychczas wszelki prozaizm, teraz wyraźnie nim nasiąka, rozluźnia swe miary, przechodzi w wiersz wolny, aby dać miejsce nadmiernym objaśnieniom rzeczowym:

— Ciebie pamiętam, starożytna wiosko Mięte,
O śpichrach wielkich jak gontyny z glazu,
Jak gontyny na kamiennych kolach
(By zabezpieczyć zboże przed najazdem myszy)
O domach, których zielone okienka tworzą z lazurem idylliczny pozór
Miasteczko gędy i komienia,
Gdzie plot barwami zdartych afiszy
Przypomniał mi obrazy van Gogha...



Mieczysław Jastrun

ostatniej podczas wojny przemiany łączą się — jak wiadomo — ściśle z przeżyciem komunistycznej partii francuskiej w tymże okresie na pozycję narodowe: to „upatryjowanie” odzwierciedliło się w utworach Aragona, sięgających do prastarych, a jednak wciąż jeszcze żywych, źródeł poezji francuskiej, do średniowiecznej twórczości trubadurów. Odwołanie tych — w poezji polskiej mniej zadowolonych — form średniowiecznych i renesansowych, canzon, ballad i trendów, wynika u Jastruna w mniejszym niż u Aragona stopniu z sytuacji historycznej i należy raczej do ściśle formalnych poszukiwań. Wśród tych tradycyjalizujących utworów na szczególne uwagę zasługują monumentalny wiersz „Jeżeli jeszcze kiedyś”, zbudowany z jednego zdania, które poprzez meandry oboczności prowadzi ku końcowej — również tradycyjnej u Jastruna — poinicie: „czas

normalne koleiny, uspokojenie rozkołysanych wojną wahadeł. Toteż, jeśli w „Sezonie w Alpach” odnajdujemy wiele obsesji tematycznych, znanych nam już z przedwojennej „Strumienia” i aż do pewnych wyrażen i przenosi, to nawet ten może być powiat jedynie z radością jako objaw tej odbudowy życia wewnętrznego, która jest jednym z najistotniejszych zadań powojennej poezji. Nie jakoby odbywał się on z uszczerbkiem dla przybyłych po wojnie dziełowo-humanistycznych elementów: wiersze jak „Wojna”, jak „Ballada o puszczy Świętokrzyskiej”, jak „Tren na śmierć generała Świerczewskiego” świadczą dostatecznie, iż „Sezon w Alpach” jest rodzajem syntez między przed — a powojenną poezją Mieczysława Jastruna.

Syntezy jednak nieopartej bynajmniej na zasadzie pojednania i zlania tych tak sprzecznych elementów w jednolitą całość. Jest to raczej rodzaj zbrojnego

Tej inwazji prozaizmu do poezji Jastruna towarzyszy prawie wszędzie — i to jest nieoczekiwany aspekt treściowy tych, rzekłbyś, ściśle formalnych zagadnień — poczucie rezygnacji. Czy to gdy w pisaniej wolnym wierszem „Elegii rzeczy przyszłych”, wywoławszy wizję mającego nadejść po tysiącletniej swizacji, wyrzeka się jego wspaniałości dla swojej „lampy barbarzyńskiej”, dla swej niedoskonałej teraźniejszości (stanowisko jakżeż odmienne od tego, jakie zajmował Majakowski, wołający niecierpliwie do wskrzeszenia przyszłych wieków: „Obudź mnie!”), czy to gdy w — również wolnym — wierszu „Medytacje” rezygnuje z upragnionej niegdyś nieskazitelnej doskonałości na rzecz poezji, zarażonej przedmiotami i pełnej szacunku dla ich obiektywnego istnienia; czy wreszcie, gdy w kilku innych utworach, których nie wliczyć, przyjmując — zamiast innych, wspanialszych, być może, języków — swoją mowę, „szorstką i twardą, której nie zna świat”, to wszędzie w tym, tylekroć powtórzonym, gęście abnegacji odnajdujemy rozwiązanie: razem i synetez, stwierdzonych przez nas poprzednio sprzeczności: „Sezon w Alpach” obawia się nam jako wyraz nawrotu dawniej elementów poetyckich, ale elementów już przeżytych i „potępionych”, już ujętych w nawias i zapatrzonych w znak minus; jako wyraz zanegowanego solipsyzmu

Artur Sandauer

GUY DE MAUPASSANT

WYZNANIE

przełożył ADOLF SOWIŃSKI

GDY kapitan Hektor Maria de Fontenne poślubił pannę Laurynę d'Estelle, rodzice i przyjaciele orzekli, że będzie to małżeństwo niedobre.

Piękna, szczupła, krucha, jasnowłosa i śmiała panna Lauryna miała w dwunastym roku życia pewność siebie kobiety trzydziestoletniej. Była to jedna z tych małych, a nad wiek dojrzałych paryżanek, które zdają się rodzić z kompletną wiedzą o życiu, z wszelkimi kobiecymi podstępami, z wszelkim zuchwałością i giętkością ducha, która powoduje, że niektóre istoty muszą — niby przez zarządzenie jakiegoś fa-

Wśród rozmowy o operacjach militarnych, jedynym temacie, który potrafił rozpalic kapitana, jego sąsiad przy stole, komendant de Favre, dolewał mu raz za razem. Było w ciągu dnia bardzo gorąco, panował upał ciepli, wysuszający, sprowadzający pragnienie, toteż kapitan pił bezmyślnie i nie spostrzegł się nawet, że stopniowo wstąpiła weń nowa wesołość, jakaś radość życia i płomienna, szczęśliwość istnienia, pełna obudzonych pragnień, nieznanych apetytów i niejasnych nadziei.

Przy deserze był już podchmielony. Rozprawiał, śmiał się i motał, porwany hucznym upojeniem, szalo-

swój. Prześladowało go wspomnienie upadku i poczucie winy, przeżęte; winy wobec własnej żony.

Zobaczył ją dopiero z końcem miesiąca, ponieważ okres manewrów spędzała u swych rodziców.

Powróciła doń z otwartymi ramionami i z uśmiechem na wargach. Przyjął ją z zakłopotaniem winowajcy i aż do wieczora prawie wcale z nią nie rozmawiał.

Spytała go, gdy zostali sami: — Co ci się stało, mój kochany? Zmieniłeś się bardzo.

— Ależ nie, moja droga — odpowiedział z przymusem — zupełnie nie.

— Wybacz, ale ja cię dobrze znam i jestem pewna, że ci się coś stało, że masz jakiś kłopot, zmartwienie, przykrość, czy ja wiem, co?

— No więc tak: mam zmartwienie.

— Aha! Cóż takiego?

— Niepodobna mówić o tym z tobą.

— Ze mną? Dlaczegoż to? Jestem zaniepokojona.

Usiadła na kozetce, podczas gdy mąż zajął miejsce w tył rezy i unikając spojrzenia żony, chodząc wzdłuż i wszerz pokoju. Podjęła:

— Widzę, że muszę cię wypowiadać. To mój obowiązek. I domagam się prawdy. To moje prawo. Nie możesz mieć przede mną tajemnic, skoro ja nie mogę ich mieć przed tobą.

Stojąc obrócony do niej plecami na tle wysokiego okna, wyrzekł:

— Moja droga, są rzeczy, o których lepiej nie mówić. Ta, która mnie dręczy, należy do ich rzędu.

Wstała, przeszła przez pokój, ujęła męża za ramię i zmusiła go, aby obrócił się ku niej przodem, a położywszy mu obydwie ręce na barkach, powiedziała podnosząc ku niemu oczy i uśmiechając się doń przymilnie:

— Ależ Marysiu (nazywała go tak w chwilach tliwości), ty nie możesz niczego przede mną ukrywać. Gotowałam pomyśleć, żeś uczynił coś złego.

— Uczyniłem coś bardzo złego — wyszeptał.

— Ocho! — powiedziała wesoło. — Aż coś złego? To zdumiewające, jeśli chodzi o ciebie.

Przyciągnęła go do fotela, zmusiła, aby usiadł, sama usiadła mu na prawym kolanie i musnęła fryzowany koniuszek jego wąsów lekkim pocałunkiem, pocałunkiem przełożnym i skrzydlatym.

— Jeżeli mi nie powiesz, to się pogniemy na zawsze.

Bąknął wśród rozdzierających wyrzutów sumienia i dręczącego niepokojem: — A jeśli ci opowiem to, co uczyniłem, nie przebacysz mi nigdy.

— Przeciwnie, mój kochany, przebacę ci natychmiast.

— Nie, to niemożliwe.

— A ja ci przyrzekam.

— A ja ci mówię, że to niemożliwe.

— Przysięgam, że ci przebacę.

— Nie, moja droga Lauryno, nie będziesz mogła przebaczyć.

— Jakiś ty naiwny, mój kochany, żebyś nie powiedział — głup! Jeżeli wzbudzisz się opowiedzieć mi, co uczyniłeś, przebacę ci natychmiast o rzeczach obcych. Będę o nich myślała i będę jednakoż urażona twoim milczeniem jak twoją nieznana zbrodnią. Tymczasem, gdybyś wszystko szczerze opowiedział, zapomnielibyśmy już jutro.

— A więc...

— Cóż więc?

Zaczerwienił się aż po same uszy i rzekł głosem poważnym:

— Wypowiadał się przed tobą, Lauryno, jak gdybym spowiadał się przed księdzem.

Z tym przełożnym uśmiechem na wargach, który przybierała niekiedy podczas słuchania, powiedziała tonem nieco drwiącym:

— Zamieniam się cała w słuch.

Podjął:

— Wiesz, moja droga, jaki jestem wstrząśnięty. Piję tylko wodę zakrapioną winem, a już nigdy kierunku, sama wiesz.

— Ale podchmieliłeś sobie tak rzeczywiście? Przyznaj się! Do tego stopnia, że nie mogłeś chodzić? Powiedz!

— Och nie, zupełnie inaczej. Straciłem rozum, a nie równowagę fizyczną. Gadałem, śmiałem się, byłem szalony.

Gdy umilkł, zapytała:

— To wszystko?

— Nie.

— Ach, tak! A... potem?

Wstrząsnęła się lekko, oczy jej rozbiły od nagłej wesołości, wesołości prawdziwej i nieprzypartej.

— Tyś mnie... — rzekła — tyś mnie... tyś mnie...

Ochłody, nerwowo i urywany śmiech wydarł jej się trzykrotnie pomiędzy zębów, przecinając słowa.

Usiłowała spoważnieć, ale za każdym razem, gdy próbowała wymówić jakiejkolwiek słowo, śmiech gotował się jej w gardle, wytryskał, dawał się na krótko pohamować i wydobywał się od nowa, wydobywał się jak gaz z odkorkowanej butelki szampana, gdy nie można powstrzymać musowania. Przyciskała sobie dłoń do warg, aby się uspokoić, aby wtłoczyć sobie w usta ten nieszczęsny atak wesołości, ale śmiech wyciekał jej spod palców, wstrząsał piersią, wystrzelał wbrew jej woli. Mówiła krzysząc się: „Ty... ty... mnie zdradziłeś... — Ha!... Ha! ha! ha!... ha! ha! ha! ha!”

I wbrew woli spoglądała nań tak osobliwie, tak szyderczo, że osłupiał doszczętnie.

Aż nagle, nie mogąc się już dłużej powstrzymać, wybuchła... Poczęła się śmiać śmiechem, który robił wrażenie ataku nerwowego. Ostre okrzyki rwały się jej z ust, wychodząc jak gdyby z głębi piersi. Przyciskawszy obydwie ręce do dołka zanosiła się tak długo, jak gdyby podlegała napadom konkluzu.

Każdy zaś wysiłek, jaki czyniła, aby się uspokoić, prowadził do nowego ataku, każde słowo, które chciała wypowiedzieć, skłaniało ją do jeszcze większego pokładania się ze śmiechem.

— Moje... moje... moje... niebożałko... ha! ha! ha! ha! ha! ha! ha!

Wstał, pozostawił ją samą w fotelu, nagle pobił i rzekł:

— Lauryno, jesteś więcej niż nieprzyzwoita.

Wydobyła z siebie w szale wesołości:

— Co... co ty chcesz... ja... ja... ja nie mogę... taki... taki... jesteś zabawny... ha! ha! ha! ha!

Posiniała i spoglądała na nią oszupiałymi oczyma, w których zrodziła się dziwna myśl. Naraz otworzył usta, jak gdyby chciał coś wykrzyknąć, ale nie powiedział nic, obrócił się na obcasach i wyszedł trzaskając drzwiami.

Zgłębili we dwoje, wyczerpani i omdlejąca Lauryna śmiała się jeszcze śmiechem, który chwila odzywał się, jakby pożaru prawie wygasłego.

Guy de Maupassant
przełożył Adolf Sowiński

*) Z przygotowywanego do druku przez Spół. Wyd. „Książka” wyboru nowel Maupassanta w nowym przekładzie.



rys. Krzysztof Henisz

tum — we wszystkim, co czyniła, wywodził innych w pole i prowadził z nimi grę. Każdy z ich postępków dokonuje się jak gdyby z premedytacją, każdy krok jest obliczony, każde słowo rozważone. Ich życie to tylko rola, którą odgrywają wobec bliźnich.

Lauryna była ponadto uroczą; i śmieszka, straszna śmieszka, nie umiająca ani powstrzymać się od śmiechu, ani go asmerzyć, gdy coś wydało jej się zabawne i pocieszne. Śmiała się ludziom w nos najbardziej w świecie, ale tak czarująco, że nie gniewano się nigdy.

Była bogata, bardzo bogata. Pewien duchowny odegrał rolę swata w jej małżeństwie z kapitanem de Fontenne. Ten oficer, wychowany bardzo surowo w religijnym domu, przyniósł z sobą do pułku obyczaje klasztorne, nieugięte zasady i zupełną intolerancję. Był to jeden z tych ludzi, którzy nieochybnie zostają świętymi lub nihilistami, bo idee stają się w nich władczyniami absolutnymi. Ich przekonania są niewzruszone, a postanowienia niezłomne.

Był to wysoki brunet, poważny, surowy, naiwny, prostoduszny, ograniczony i uparty, jeden z tych ludzi, którzy przechodzą przez życie nie dostrzegając ani razu jego podszewki, odcieni i subtelności, którzy nie domyślają się niczego, niczego nie podejrzewają i nie przypuszczają, że inni mają inne niż oni myśli, sądy, przekonania i postęпки.

Panna Lauryna zobaczyła go, przejrzała do głębi i natychmiast zgodziła się na małżeństwo.

Stanowił małżeństwo doskonałe. Ona była gładka, sprytna i roztropna, potrafiła wydawać się taką, jaką być powinna, zawsze gotowa do dobrych uczynków i do zabawy, pilnie uczęszczająca i do kościoła, i do teatru, światowa i powściągliwa, z odrobiną ironii, z błyskiem w oku, gdy rozmawiała poważnie ze swym poważnym małżonkiem. Opowiadała mu o swej pracy dobroczynnej, prowadzonej w towarzystwie księży z miejscowej parafii i z okolicy, a ze swych bogobojnych zajęć ciągnęła też korzyści, że mogła przebywać od rana do wieczora poza domem.

Jednakże niekiedy wśród opowiadania o jakimś uczynku dobroczynnym porывał ją nagle szalony śmiech, śmiech nerwowo i niemożliwy do powściągnięcia. Kapitan był wtedy zaskoczony, niespokojny i nieco obrażony na żonę, która dusiła się wprost ze śmiechu. Gdy się nieco uspokajała, zapytywał: „Cóż ci się znów stało, Lauryno?” „Nic takiego!” — odpowiadała. — „Przypomniałam sobie po prostu coś zabawnego, co mi się przytrafiło”. I opowiadała pierwszą lepszą historyjkę.

Latem roku 1883 kapitan Hektor de Fontenne wziął udział w wielkich manewrach trzydziestego drugiego korpusu armii.

Pewnego wieczoru, gdy po dziesięciu dniach spędzonych pod namiotami w szarym polu, po dziesięciu dniach utrudzeń i niedostatków rozbito obóz w okolicach pewnego miasta, koledzy kapitana postanowili pójść na dobry obiad.

Pan de Fontenne odmówił początkowo udania się razem z nimi, jednakże w następstwie wyraził zgodę, gdy jego odmowa wywołała zdziwienie.

nym upojeniem człowieka zazwyczaj statecznego i spokojnego.

Ktoś rzucił myśl, aby zakończyć wieczerę w teatrze. Kapitan towarzyszył kolegom. Jeden z nich rozpoznął w pewnej aktorce swą dawną miłość. Zorganizowano kolację, w której wzięła udział część żeńskiego personelu trupy.

Kapitan obudził się nazajutrz w nieznanym pokoju i w ramionach małej blondynki, która rzekła doń, spostrzegłszy, że otworzył oczy: „Dzień dobry, mój duży kocie!”

W pierwszej chwili nie pojmował nic. Stopniowo wróciła mu pamięć, aczkolwiek nieco jeszcze zamącona.

Wstał tedy bez słowa, ubrał się i wysypał zawartość sakiewki na kominek.

Poczuł wstyd, gdy uświadomił sobie, że stoi w mundurze i z szabłą u boku w umeblowanym pokoju ze zniszczonymi firankami, wobec kanapy z przegami płam o podejrzanych tropach. Nie śmiał wynieść się stąd, żejąc po schodach, gdzie mógłby natknąć się na ludzi, przejść koło odzwiernego, a zwłaszcza wyjść na ulicę, by ukazać się oczom przechodniów i sąsiadów.

Kobieta powtarzała bez ustanku: „Co ci strzeliło do głowy? Czyś moję stracił? Wczoraj wieczór byłeś wyszczekany! A to cham dopiero!”

Pokłonił się jej ceremonialnie i wyniósłszy się wreszcie powrócił wielkim krokiem na swą kwatery, przekonany, że wszyscy odgadują z jego ruchów, zachowania się i twarzy, że wyszedł od dziewczynki.

Opadły go wyrzuty sumienia, udręka człowieka surowego i pełnego skrupułów.

Wypowiadał się i przyjął komunię świętą, ale nadal czuł się nie-

Wypowiadał się i przyjął komunię świętą, ale nadal czuł się nie-



rys. Krzysztof Henisz



rys. Krzysztof Henisz

— Tak, wiem o tym.

— No więc wyobraź sobie, moja droga, że pewnego wieczoru pod koniec wielkich manewrów, gdy byłem bardzo spragniony, bardzo zmęczony, bardzo zmordowany, poniosło mnie trochę przy piciu...

— Podchmieliłeś sobie? Fe, to nieładnie!

— Tak, podchmieliłem sobie. Przybrała surową minę.

JERZY FICOWSKI

Z tamtej strony jeziora

stała lipka zielona.

A pod tą lipką, pod tą zieloną

brata mi zastrzelono.

Jednakże szumią jej liście

na odcieście i na przyście —

usnij-że mi synku, usnij,

małucieńkie oczka stuśnij.

Matka cię przytułi

w śmiertelnej ksczuł.

W grób nieznanym synów kładą

matki nasze — camarados.

W naszych krajach wszystkie drogi

prowadzą do wspólnych mogił.

Zasiewajcie grób kwiatami,

niech się owce pasą na nich.

Gdy upasą się na runi

skręćmy z ich liściek struny.

Zadźwięczy pieśń wolna; czysta

Gwadałkwiwrem i Wisłą.

Gdy dzieci wasze dorosną,

zatańczą romances besos,

zatańczą smagłe dziewczyny,

dni się jak oddech rozwina

na świecie wolnym i prostym,

gdy owce twoje dorosną,

Ty pójdiesz górą a ja doliną,

lecz się spotkamy,

by naszym matkom, naszym dziewczynom

nie rozsypany był w popiół

owoc żywota

amen.

II

Masz nóżki tak maleńkie,
że na moncie tańcząc,
swą stopą srebra nie tkniesz
w tym samym miejscu dwakroć.

Gdy idziesz, jak cień miękko,
rytmicznie się kolyszysz;
na pewno w pantofelku
ukrywasz kapdmistrza

Gitarą struny cztery
ma — wartka pieśń kądziel.
Jej dźwięki nie z eteru,
— podobne blaskom w wodzie —

Śpiewam ja tobie, któraś
rodzoną ziemi córą.
Czarna jest, czarna, dobra ziemia;
czarna dziewczyna, której śpiewam:

Gdy błyskawica blasku
przełna usta
nabrzmiła burzą czerwieni —
— uśmiechasz się

Gdy w mrocznych gniaздkach nocą
czuwają pisklęta światła
pod cieniem rżys —
— patrzysz.

Gdy male smagłe mufle —
wyrzucone falą wiesów na brze —
napelnia muzyka —
— słuchasz.

Wtedy zaczynam ufać
uśmiechem, czom i uszom
i wleźć w tróję —
— jedyną w trzech pestaciach.

Gdy błyskawica huku
rozbija dom twój —
— i płacze dom zastrzelony —
giniesz.

Gdy w celach Toledo, Madrytu,
ryjesz na ceglach znak swój —
swe imię, by ślad pozostawił
braciom —

oblaki ciężarne twym bólem
płyną nad moim miastem,
a deszcze, które z nich szumią,
gorzkie są od twych łez.

III

Romanca o śmierci Federica Garcia Lorca

Rozdawały barwy, dźwięczące
jak monety w skórzanych kieskach
Cyganki i w oczy szła Lorca
sco kastylijska, niebieska.

EDMUND OSMANCZYK

DWIE NOWE KSIĄŻKI TOMASZA MANNA

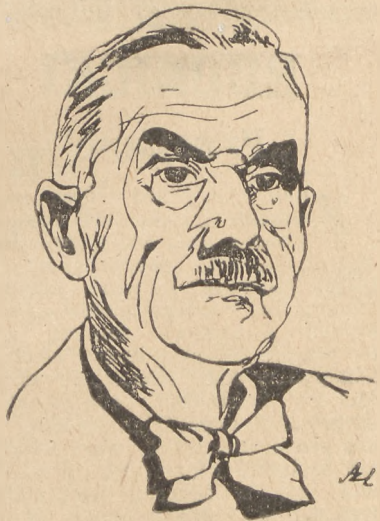
Berlin, w listopadzie 1943 r.

Prawie równocześnie ukazały się dwie książki Tomasza Manna, które są niewątpliwie czymś więcej, niż tylko literackim wydarzeniem. Nim powołani krytycy ocenia właściwie literacką wartość ostatnich prac wielkiego pisarza, pragnę zwrócić na nie uwagę wszystkich, którzy interesują się zagadnieniem niemieckim. Osobiście skłaniam się do przekonania, że obie książki w przyszłości oceniane będą jako symboliczne, graniczne słupy między epokami żywota niemieckiego narodu. I choć obie książki, jedna — powieść, a druga zbiór esejów, nie równie są w swej wadze, to jednak związane są ze sobą równie silnie jak los Tomasza Manna z losem jego narodu, a los autora z losem dr. Faustusa.

„Nowe studia” („Neue Studien”, Suhrkamp Verlag, Berlin 1943, to zbiór pięciu rozpraw znanych już w większości z miesięczników literackich lat powojennych, rozprawy o „Niemcach i Niemcach”, o Goethe, o Dostojewskim, o Nietzsche, o biblijnym Józefie. Rozprawy te są jednak właściwie tylko komentarzem do monumentalnej powieści, noszącej tytuł: „Dr Faustus” (Das Leben des deutschen Tonsetzers Adrian Leverkuehna, Bermann — Fischer Verlag, Stockholm 1943). Obie książki są dziełem człowieka, który przeżył już lat przeszło siedemdziesiąt, zdobył sławę światową i z dala od kraju, dożywa swoich dni w pięknej willi nad Pacyfikiem. Wyśtarczył napisas: Mr. Thomas Mann, Pacific Palisades, California, USA. aby list dotarł bez trudu do rąk adresata.

Tomasz Mann, brat starszego oden wielkiego pisarza niemieckiego Heinricha, a ojciec Eryki i Klausa, również piszących i cenionych za swe utwory, urodził się w mieście hanzeatyckim Lubece 6.VI.1875 r. Był to okres, kiedy Prusy po zwycięstwie Bismarcka nad Francją zjednoczyły w cesarstwie Rzeszę i rozpoczęły się najwspanialszy rozkwit zaborczej potęgi prusko-niemieckiej. Prawie przez czterdzieści pierwszych lat swego życia Tomasz Mann oddychał potęgą polojową swego kraju. Miał 23 lat, kiedy napisał powieść, wystawiając go na czoło prozaików niemieckich i światowych — „Buddenbrooks”. Wojna wstrząsnęła nim i w 1918 r. ogłosił pełne zdumienia i przerażenia wobec tego, co się stało, „uwagi człowieka niepolitycznego” („Betrachtungen eines Unpolitischen”). Po sześciu latach ukazała się „Czarodziejska góra” (Der Zauberberg) i wkrótce pięćdziesięciocroletni rotomek lubecki patrycjusz otrzymał nagrodę Nobla (1929), najwyższe w świecie odznaczenie

dla pisarza. W 1933 r. Mann ušzedł do Czechosłowacji, lecz pełen był jeszcze wahań, czy uczynił dobrze i zastanawiał się, czy jednak on, „człowiek niepoli-

rys. A. Z. Linke
Tomasz Mann

tyczny”, nie powinien skorzystać z żelaznego listu Goebbelsa i powrócić do odbudowującej się w narodowym zrywie ojczyzny. Przeważał — zdaje się — jednak wpływ „politycznie angażującego się” starszego brata Heinricha, który w latach Republiki Weimarskiej, a później na emigracji w Paryżu walczył zdecydowanie z hitleryzmem. Tomasz Mann nie powrócił więc do ojczyzny. Zamieszkał w Szwajcarii, później we Francji i pisał znów książkę „nie polityczną” z czasów Goethego „Lotte von Weimar” (Bermann-Fischer Verlag, Stockholm) która wyszła w pamiętnym roku 1939. Książka ukazała się wiosną, a jesienią tegoż roku Tomasz Mann wygłosił w Sztokholmie odczyt „o problemie wolności”, wymagającym politycznej postawy („Zwang zur Politik”) od każdego człowieka, któremu wolność jest droga. Sześćdziesięciocroletni wielki pisarz zdecydował się walczyć politycznie. Po roku, już w Ameryce rozpoczęła wygłaszanie przez radio w języku niemieckim odczyt do swego narodu. Te 55 mów radiowych z lat wojny, zebrane w książce pt. „Deutsche Hoerer!” (Bermann — Fischer Verlag, Stockholm, 1943) są warte przeczytania. Wyjaśniają one bowiem w dużym stopniu powstanie „Nowych studiów” i „Dr. Faustusa”.

Próby trud rzucanych na wiatr słów zmącił u Tomasza Manna zapal do walki politycznej. Nad brzegiem Pacyfiku, w zachodniej Kalifornii, w najpiękniejszym ogrodzie świa-

ta, dobiegający lat siedemdziesięciu wielki pisarz przeżywał wyobraźnią, mózgiem i sercem barbarzyństwo drugiej wojny światowej, rozpetanej znów przez jego naród. Słowa, które rzucał w eter po to, aby dotarły do wyobraźni, mózgu i serce rodaków, nie skracaly jednak wojny. Nadchodziły wiadomości o coraz większych zbrodniach, obłądnych zbrodniach, dokonywanych w całej Europie z niemieckiej woli. Obłąd — oto jedyne wytłumaczenie. I Tomasz Mann pisze studium o Nietzsche, kończącym żywot w domu obłąkanych i pisze studium o Dostojewskim, genialnym epileptyku i pisze opowieść o nowym Fauscie, „żywot niemieckiego kompozytora Adriana Leverkuehna”, zakończony również obłądkiem.

W pierwszym rozdziale „Nowych studiów” p.t. „o Niemcach i Niemcach” wyznaje Tomasz Mann (odczyt ten wygłoszony został po angielsku przed publicznością amerykańską w r. 1945):

„...odnoszę wrażenie, iż życie wyrasta z tego samego twórcy, z jakiego powstają sny. Wszystko jest tak nieoczekiwane, tak mało prawdopodobne i tak niezwykle...”

A dalej:
„Cóż za fala snu przetrzuciła mnie z najdalszego kątatka Niemiec, gdzie

się urodziłem i dokąd przecież należą, do tej sali, w której sioję jako Amerykanin i przemawiam do Amerykanów? Nie dlatego mówię o tym, by wydawało mi się to niesłuszne. Przeciwnie, zgadzam się z tym całkowicie — los zresztą postaral się o to. Wszysko potwierdza dziś to, że mój rodzaj niemieckości najdoskonalej jest zachowany w rasowym i narodowym Uniwersum, w gościnnej, wolnej Kosmopolis, nazywanej Ameryką. Nim zostałem Amerykaninem, pozwolono mi być Czechem. Było to w najwyższym stopniu uprzejme i godne wdzięczności, jednak nie posiadało to żadnej treści ani sensu. Równie dobrze wyobrażam sobie, że zostałbym przypadkowo mógł Francuzem lub Anglikiem lub Włochem i z zadowoleniem stwierdzam, iż słuszniej było to, że stałem się Amerykaninem. Wszysko inne oznaczałoby zbyt ciasne, zbyt określone wyobcowanie mojej egzystencji. Jako Amerykanin jestem obywatelem świata, co tkwi w naturze Niemca...”

Mann jest szczęśliwy, że obywatelstwo amerykańskie wyrwało go z ghełta niemieczyny, „gdzie słowo „International” od dawna stało się obelgą, a obstrukcywny prowincjonalizm zastrul atmosferę...” — Wie jednak, że

„jeśli się ktoś urodził Niemcem, to jest z związany z losem niemieckim i z niemiecką winą”. I Mann podejmuje ciężar swej i swego narodu przeszłości.

Goethe umieścił bohatera swego Fausa a na przełomie dwóch epok średniowiecza i humanizmu. Dr. Faustus, Manna, żyje w latach 1890—1930. Później popada w obłąd. Jest to więc też granica dwu epok, tej, która minęła z obłądem hitleryzmu i tej, w którą wstępujemy o teraz, nieświadomi jeszcze jej oblicza.

Manna pisze: „Diabeł więc, diabeł Lutra, diabeł Fausta, wydał mi się bardzo niemiecką postacią, a zawieranie sojuszu z diabłem, zaprzeczanie mu się, zatracanie zbawienia duszy własnej za możność zdobycia choćby na czas jakiś wszystkich skarbow i władzy nad światem — czymś bardzo bliskim istoty niemieckiej”.

I nagłe wyznanie, które rozświetla przyczynę, czemu Dr. Faustus Manna jest epsem „żywota niemieckiego kompozytora Adriana Leverkuehna”:

„Błędem baśni i poematu jest to, że Faust nie związany jest z m u z y k ą. On musiał być muzykalny i musi być muzykiem Muzyka jest demonicznym obszarem...”

„Jeśli Faust ma być reprezentantem duszy niemieckiej, to musi być on muzykalny, bo abstrakcyjny i mistyczny, to znaczy muzykalny, jest stosunek Niemców do świata — stosunek demonicznie natchnionego profesora, niezdarnego, lecz zarozumiałe przekonanego o swej wyższości nad światem dzięki swej „głębi”. A na czymże polega ta głębia? Właśnie na muzykalności duszy niemieckiej...”

Uwagi o Niemcach i Niemcach, niezwykle ciekawe, warte przetłumaczenia, Tomasz Mann wciąż przepłata nawracaniem do powyższej tezy.

„Martin Luther, olbrzymie uosobienie istoty niemieckości był niezwykle muzykalny...”

Opowiadając o buncie Tillmana Riemenschneidera przeciw uciskowi książąt i junkrów, Mann pisze:

„I to zdarzało się w Niemczech, lecz nie jest to specyficznie monumentalnie niemieckie. To natomiast wypowiedział Luther, muzykalny teolog...”

A w innym miejscu:

„Niemcy spóźniają się zawsze. Są oni spóźnieni, jak muzyka, która zawsze spośród wszystkich sztuk ostatnia siera się wyrazić czas epoki, kiedy czas ten już mija...”

To był rok 1945, kiedy w San Francisco Tomasz Mann wygłaszał swój odczyt. Po upływie dwóch lat w Zurichu mówił o filozofii i żywocie Nietzschego. Rozpoczął opowieść od daty (1889) załamania się psychicznego autora Zarathustry i słów załasných Ofeli:

„O, what a noble mind is here o'erthrown!”

(O, cóż za szlachetny umysł został zniweczony!)

W latach 1943—45 powstawał żywot Adriana Leverkuehna, genialnego niemieckiego muzyka, który chce zdobyć świat i kończy jak Nietzsche obłądkiem. W latach 1945—47 Mann pisze swe „Nowe studia”, które mają uzasadnić raz jeszcze nową koncepcję Fausta. A jednak jest olbrzymia różnica między losem i Fausta i Nietzschego i Leverkuehna. Nietzsche nie doceniał zła, Leverkuehn doceniał je w pełni, a m i m o t o poddał mu się.

Żywot Leverkuehna, napisany wspaniałą mannowską prozą, jakże trudną do przetłumaczenia, jest zbudowany na zasadach kompozycji muzycznych. Czytałem krytyki muzycznych niemieckich, z podziwem chylących głowę przed geniuszem Manna, który nie tylko nie istniejące nigdy utwory muzyczne Adriana Leverkuehna potrafił oddać słowami, lecz całą swą opowieść o nowym Fauscie potrafił przystosować do kanonów klasycznych kompozycji muzycznych.

Adrian Leverkuehn urodził się w rok po szaleństwie Nietzschego, a odeszedł w ciem obłąkania na dwa lata przed dojściem Hitlera do władzy. To tych lat żywota niemieckiego nie jest przypadkowe.

Friedrich Sell, przyjaciel Tomasza Manna, ongi (do 1933 r.) profesor Akademii Pedagogicznej w Kaseli, dziś Amerykanin, profesor jednego z College'ów w Massachusetts, w „Komentarzu do Dr. Faustusa”, ogłoszonym w majowym numerze „Die Wandlung” pisze:

„Gdzie tkwi jednak analogia między losem Adriana a losem jego narodu? Tkwi ona w głęboko uzasadnionej słoności charakteru do wrodzonej przynajmniej wszystko zrozumiałości”.

A dalej, ten oto prosty, znany i słuszny wniosek z żywota Adriana: „Zły los Niemiec kształtował się na długo przed Hitlerem”.

I wreszcie:
„Jest to książka wiedzy i smutku, lecz nie nagan i osądu”.

W tej starczej mądrości Tomasza Manna tkwi też cała wewnętrzna słabość obu ostatnich jego książek. Wystaw! tragiczny, wspaniały, geniuszem słowa wykuty pomnik swej epoki, który nie ma być drogowskazem, a tylko monumentem, postawionym na granicy dwóch epok.

Po przeczytaniu obu książek zrozumiałem, dlaczego Tomasz Mann nie powrócił do Niemiec, i nie powróci już nigdy. Tomasz Mann wszedł na szczyt i dojrzał przepaść, w którą pchnął się jego naród. I Tomasz Mann nie wierzył, aby poza wystawieniem tragicznego pomnika upadłym, uczynić mógł coś więcej. Przypominają się tu ostatnie słowa jednego z bohaterów powieści skierowane do odchodzącego Dr. Faustusa:

„Samotny człowiek składa ręce i mówi: Bóg niechaj będzie łaskawym biędną twej duszy, przyjacielu mój, ojczyzno moja!”

Samotny starzec żyje nad brzegiem Pacyfiku, dumny, że „jako Amerykanin jest obywatelem świata — co tkwi w naturze Niemca...”

Kilkanaście tysięcy mil od Pacific Palisades żyje jego naród, w większości swej marzący o „amerykańskim obywatelstwie światowym” dla Niemiec.

To wszystko, co ich łączy. A to tak straszliwie mało, aby móc się spotkać. Wie o tym Mann i nie wraca. Pozostaje z nim starca wiedza i smutek. Wszysko — czas przesyli

Witold Rowicki

Edmund Osmańczyk

List do redakcji

W sprawie sytuacji muzycznej w Polsce

niezorientowany w życiu kulturalnym kraju.

Jak niekorzystnie przedstawiono Rodzińskiemu sytuację muzyczną w Polsce, świadczy końcowy ustęp omawianego artykułu, ściślej — przytoczona wypowiedź Rodzińskiego na powyższy temat, oraz na temat związanych z tym planów organizacyjnych znakomitego dyrygenta, które zamierzał zrealizować po powrocie do Polski.

A więc najpierw sprawa „planu organizacyjnego”. — Autor artykułu cytuję słowa Artura Rodzińskiego: „Postawienie życia muzycznego w Polsce na jakim takim poziomie wymaga szczegółowego planu organizacyjnego”.

To znaczy, że taki plan nie istnieje, że Ministerstwo Kultury i Sztuki, Związek Muzyków, Związek Kompozytorów i inne powołane do tego instytucje „nie wpadły” dotąd na pomysł, aby można było planować i budować gmach kultury polskiej według „szczegółowego planu”, no i w związku z tym, nie możemy nawet marzyć o postawieniu życia muzycznego w Polsce na „jakim takim” choćby poziomie? — Panowie, czy nie ma w tym przesady?

Z kolei opis „braków” muzycznych: „Polska odczuwa obecnie brak materiału nutowego, który stosunkowo łatwo można dostać w Ameryce. Foza tym nie mamy instrumentów. W instrumentach drewnianych i blaszanych są braki ogromne. Aby te braki jako tako wyrównać, potrzebne są przede wszystkim pieniądze i jeszcze raz pieniądze”. Wszysko to zupełnie słuszne, a nieustannymi staraniami o to od trzech lat dowiedliśmy, że i tu w Polsce wiemy o tym bardzo dobrze.

I dalej cytując wypowiedź Rodzińskiego: „Poza sprawą instrumentów i materiału nutowego, kwestią piekącą jest dziś w Polsce zagadnienie instruktorów muzycznych. Instruktorzy tacy daliby się łatwo znaleźć. Np. we Francji. Można by i należałoby sprowadzić ich do Polski, by w konserwatoriach, których poziom powinien być bardzo wysoki, kształcili i wychowywali polski narybek muzyczny”. Zagadnienie znów dobrze znane, szeroko dyskutowane i docenione przez nasze władze (szczególnie potrzebni są instruktorzy — pedagodzy w dziale instrumentów dętych), — a jednak, mimo, że właściwie łatwe do rozwiązania, — wciąż tkwiące jeszcze na martwym punkcie.

Lub też czy można sądzić, że my nie wiemy iż „wszyscy ludzie pracujący na odcinku muzyki symfonicznej powinni być tak opłacani, by nie potrzebowali dorabiać granieniem w knajpach, dancinгах i teatrzykach”.

Przecież nie tylko jesteśmy tego samego zdania, lecz walczymy o to bezustannie, dochodząc stopniowo do pozytywnych rezultatów.

„Skoro jednak i przed wojną i obecnie znajdowały się zawsze i znajdują się środki finansowe na liczne imprezy sportowe rozgrywane się za granicą, to wydaje mi się, że z chwilą, kiedy opiekę nad muzyką wzięło w swe ręce państwo nie można i nie należy być tutaj przesadnie oszczędnym”.

Słusznie ależ ta dysproporcja sukcesów sportowych i muzycznych, przy odwrotnie proporcjonalnym wkładzie finansowym, to nie tylko zagadnienie tu popularne, ale wręcz spopolitowane.

Słowem Artur Rodziński został poinformowany o brakach naszych

HISZPAŃSKA

p. Mercedes Sanchez

Owoce spadały wcześniej
jak słodkie, dojrzałe gwiazdy
i zamieniały się w pieśni
kolory, które pegasyły.

W Jerez de la Frontera
piją w kamiennej karczmie
Cyganie, lecz śpiew zamiera,
nim jeszcze dzień się zaczyna.

Pięta koguty szklane
czerwone świty nad merzem
Ochodzą Camberies w nieznanie
i księżyc za miasto odchodzi.

Odjechał na nocy wierzchem
rycerz o tarczy srebrnej,
— Świeciłem wam, lecz pierzchem,
bo jestem już niepotrzebny.

Gwardia Cywilna łamie
księżyc i wolne śpiewy.
Milczą zgarbieni Cyganie
i gwiazdy cygańskie — bcz Ciebie.

„Nie bije serce poety”.
Zandarmi na koniach czarnych
zniknęli, a kastanioty
wskrzysły twój puls umarły.

I tętnią i wciąż oddycha
Hiszpania powietrzem twych pieśni.
Nocą niewoli i cykad
zuchwały Camboito — nie śpi.

IV

Grać trzeba, choćby struny pękły.
Piosenka — zielony wolności oddech,
która wśród gór partyzanckich
nocą spogląda w gwiazdy
lufami karabinów,
wśród gór.

Grać trzeba, choćby struny pękły.
Sam wiatr necami brzdąka
w księżyców gitar śledem.
Podkowy szczęścia nie przynoszą —

Ich ślad jak szczęki pędnej trwogi
za zandarmami szeregłem,
ich ślad.

Karabiny zabijają i dźwięczą,
Kastanioty dźwięczą, zabijają,
zabijają i dają życie.
Kastanioty: jedynych pieśni ziarna
Kastanioty: kościotrupów palec.

Był zachód — krwawy zachód noży
Dziewczyny szły za kuliszy
wszyskiego, co było wokół.
Tam urywała się muzyka:
niepotrzebne, światła pełne tło.
I stały nagie rusztowania:
krokwie twardego rytmu.
Przechodziły, tasując spojrzenia
jak karty czarne i magiczne,
rozsypanywały talie zużyte
za kulisami muzyki.
A mój tylko
o dwa ode mnie kregi
wzbudzone na powietrzu
biciem mego serca.
Czerwone chusty gasły jak płomien
wtopiony w węde
i deptał je ciemny werbel: kształt
gasicj z kolorów melodii

Gdy o zabitych dziewczynach,
zamordowanych młodzieńcach,
mówią salwami kastanioty —
wyrasta mur egzekucyjny
zryły seriami potoków.
a kłócie modlą się o to,
co nie zginęła: o Wolność.
I kuli się ranne powietrze
chłostane przez kastanioty:
pamięta ciało dziewczyny
wyrwane objęciem światła —
ciała tych czarnych dziewczyn,
zamordowanych dziewczyn.

Wiersz z tomu p. t. „Ołowian! żołnierze”,
który ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa E. Kuthana.

KLUB »ODRODZENIA«

przedstawia swych autorów i dzieła, które członkowie klubu otrzymają w ciągu roku 1949

HILMAR WULFF

„Droga do życia“



Urodził się 5 marca 1908 roku w Randers (Dania) jako syn uboższego rybaka. Bieda ojcowskiego domu — dzieci było pięć — wygnała dziesięciolet-

niego chłopca do pracy na polach buraków cukrowych. Tutaj Hilmar poznaje robotników polskich, wychowanych do Dania w czasie pierwszej wojny światowej przez niemieckich agentów wercbunkowych. Po zakończeniu szkoły powszechnej w Nakskow, Wulff spędza kilka lat na morzu jako chłopiec okrętowy, a po dojściu do pełnoletności zaczyna się do służby wojskowej jako marynarz.

Żędza przygód gna niepokojnego młodzieńca na długą wędrówkę po Europy, w czasie której przemierza Niemcy, Holandię, Belgię, Francję, pracując jako robotnik w szwalni, na roli, w fabryce i przy budowie dróg, bądź jako szofer czy ekspedient.

Po powrocie do kraju, Wulff wstępuje na uniwersytet ludowy i pisze artykuły polityczne i... wiersze. Morze upomina się jednak o swoje prawa i odiać ten najoryginalniejszy chyba z pisarzy duńskich dzielić będzie swoje zainteresowania wcale pół roku: latem jest zawulwym rybakim, zimą — pracuje jako artysta, powieściopisarz.

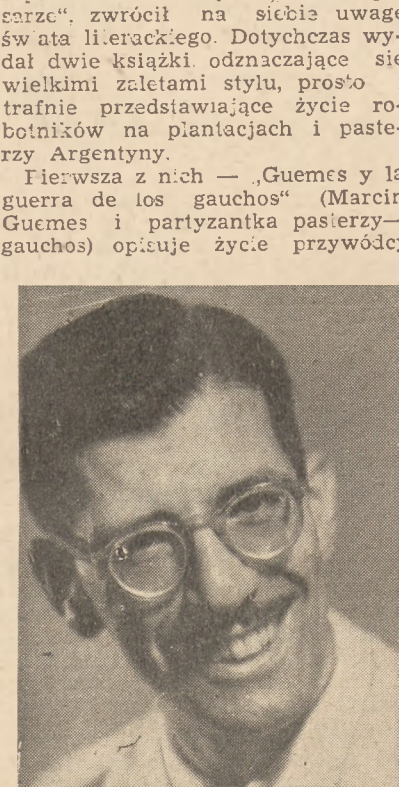
Pierwszą książkę pod tytułem „Jak pogoda w kwietniu“ (pogoda kwietniowa po duńsku — to samo, co „pogoda marcową“ w Polsce) wydaje w roku 1942. Zaczęty po wocześnie i przychylną opinią krytyki — w roku następnym wydaje nowy tom pt. „Takie rzeczy dzieją się naprawdę“.

W tymczasem mocno zaangażowania w podziemnej akcji pisarstwo zaczyna się palić grunt pod nogami. Po wyspie i znacznym wyroku śmierci ucieka przed gestapo do Szwecji. Tutaj bierze udział w redagowaniu po duńsku i przesłaniu do Danii „Nowin ze Związku Radzieckiego“, równocześnie przygotowuje książkę trzecią pt. „Pieśń pracy“ (wyszła po okupacji w r. 1945 jako trzecia część trylogii z życia marynarzy).

W r. 1947 Hilmar Wulff wydaje „Drogę do życia“. Książka z miejsca zyskała olbrzymie powodzenie; otrzymała wielką nagrodę najpopularniejszego dziennika Kopenhagi — „Folieten“, została przetłuma-

ALFRED VARELA

„Ciemna rzeka“



półdzikich pasterzy - gauchos, walczących w partyzantce o sprawiedliwość społeczną w latach 1910 — 18.

Druga — „El Rio Oscuro“ („Ciemna rzeka“) przedstawia zupełnie nieznane Europejczykowi życie robotników na plantacjach, życie zbiorowiska ludzi o bujnych temperamentach i surowych oczyszczających. Tem akcją jest przewrót dzikiej argentyńskiej puszczy. W ujęciu tematu uderza żywa, żywa kompozycja powieści, a język ujmie prostota i jedność. „Ciemna rzeka“ ukazała się już w tłumaczeniu francuskim, niemieckim i rosyjskim.

czona na 7 języków; w tej chwili jest filmowana.

W „Droga do życia“ — pisze jeden z krytyków duńskich — czujnym okiem podchwycił Wulff całe bogactwo tematu (życie robotników polskich w Danii) i zręcznie wyzyskał jego dramatyczne możliwości: barwne życie Polaków w dzień powszedni i w święto, kontrast między żywiołowym ludem słowiańskim a spokojnymi, przaczącymi wyspiarzami.

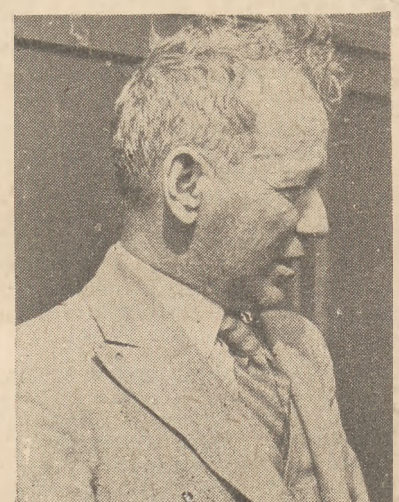
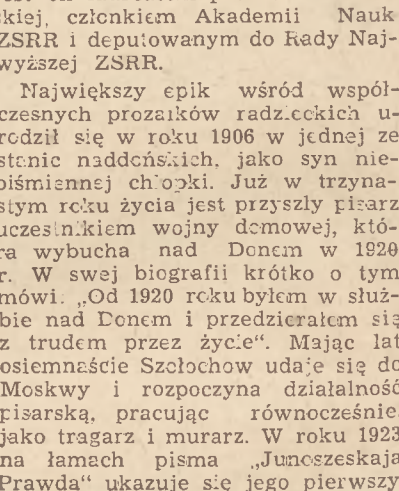
„Żywie i prawdziwe opowiadanie — pisze inny Duńczyk — o ludziach, w których pulsuje krew“. Około pięćdziesiąt lat temu, w czasie wojny, Wandy, skupia autor szeregi postaci zarówno spośród ludności miejscowej, jak i przybyszów.

„Droga do życia“ — to świetny obraz pełen dramatycznego napięcia, w którym roi się od ludzi przemitych i ograniczonych, płokujących i małoskorych, bab i pęczy ciwców, dzieci i romantów „ważniaków“. Spotyka się tu miłość i śmierć, wybuch pożaru, ktoś traci nogę, mięśnie boją od twardej pracy.

Autor jest mistrzem prostego opowiadania, niepozabawionego akcentów ciepła i pogodnego humoru.

MICHAŁ SZOŁOCHOW

„Zorany ugór“



utwór literacki — opowiadanie „Zbieg“, które wyróżnia się doświadczeniem, przekraczającym wiek młodego debiutanta. Rok 1926 przynosił zbiorowi tom prozy: „Opowiadania znanego Donu“ — o tematyce rewolucyjnej. W tym czasie w Moskwie kłóci się w nim amantny pomysł opowieści kozackiej. Dla rozpoczęcia pracy nad „Cichym Donem“ powraca pisarz do rodzinnej stolicy, środowiska przyszłych bohaterów epopei. Fraca nad „Cichym Donem“ trwa kilkanaście lat. Pierwszy tom powieści ukazuje się w 1928 roku.

W 1932 roku wydaje autor „Zorany ugór“, powieść mającą nową rzeczywistość wiejską uubioną przez niego stolicy Wieszniejskiej. W „Zorany ugór“ — jak mówi L. Leczniw — znajdujemy obraz tego, jak dawni chłopci, przeszedłszy przez rewolucję i szkołę ideologiczną partynę, zwolna wyzrywają się nawykowi garnięcia tylko do siebie i pracy tylko dla pomnożenia swej prywatnej własności, a poczynają wspólnie pracować dla dobra wspólnego, będącego zarazem ich dobrem osobistym.

Cały okres do chwili wybuchu wojny spędza autor w swej siedzibie nad Donem, pogłębiając studia nad rodzinnym środowiskiem.

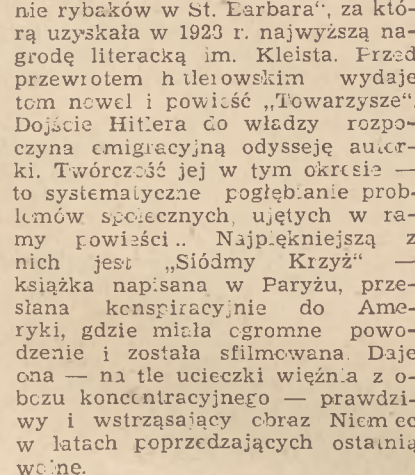
Ostatnia wojna przynosi autorowi bolesną stratę: matka jego, której rysy z miłością synowską uwiecznił w pięknej postaci Ilinicznej, ginie od niemieckiej bomby. W czasie zmagania wojennych spotykamy często Szolochowa wśród szeregow żołnierskich pierwszą linią frontu, a rezultatem literackim jego przeżyć i obserwacji wojennych jest nieopublikowana dotychczas powieść „Ci, co walczyli za ojczyznę“, pragnąca utrwalać bohaterstwo narodów ZSRR, walczących na froncie i tyłach z niemieckim najeźdźcą.

Cała twórczość Szolochowa stanowi wartą całość będącą jakby poetycką, artystyczną kroniką nowej rzeczywistości sowieckiej. Dlatego też warto, aby czytelnicy „Cichego Donu“ poznali także „Zorany ugór“, który do pewnego stopnia można uważać za dalszy ciąg epopei.

*) „Zorany ugór“ ukazał się w polskim przekładzie przed wojną, ale w małym nakładzie i bardzo słabym tłumaczeniu, znieszczałym artystyczną wartość utworu.

ANNA SEGHERS

„Umarli pozostają młodzi“



W urodzona w 1900 r. w Moguncji, wcześniej rozpoczęła swą karierę literacką książką „Powstanie rybaków w St. Barbara“, za którą uzyskała w 1923 r. najwyższą nagrodę literacką im. Kleista. Przed przewrotem hitlerowskim wydaje tom noweli i powieści „Towarzysze“. Dojście Hitlera do władzy rozpoczyna emigracyjną odyseję autorki. Tworząc jej w tym okresie — to systematyczne pogłębianie problemów społecznych, ujętych w ramy powieści. Najpóźniejszą z nich jest „Siódmy Krzyż“ — książka napisana w Paryżu, przesłana konspiracyjnie do Ameryki, gdzie miała ogromne powodzenie i została sfilmowana. Daje ona — na tle ucieczki więźnia z obozu koncentracyjnego — prawdziwy i wstrząsający obraz Niemiec w latach poprzedzających ostatnią wojnę.

Zmuszona przez Gestapo do ucieczki z Paryża, po licznych wędrówkach osiada Anna Seghers w Meksyku, gdzie pisze dalsze powieści. Książki te wychodzą w Amsterdamie, Zurichu, Now Yorku i w Meksyku. W 1947 r. powraca autorka do Berlina, gdzie znowu przebudowuje Kulturalny i otrzynuje za całokształt działalności



literackiej nagrodę im. Georga Buchnera.

Ostatnia powieść „Umarli pozostają młodzi“ przedstawia z wielkim realizmem życie Niemiec w okresie międzywojennym, stopniowe narastanie hitlerizmu po przebiegu pierwszej wojny i jego upadający wpływ na wszystkie warstwy społeczeństwa. Na tle tych wydarzeń, które zamyka pogrom siałogradzki, przedstawia autorka dzieje ojca i syna, ofiar dwóch wojen światowych. Jednak ich los stancowi kłamię artystyczną spinającą kompozycyjnie powieść.

Anna Seghers należy do rzędu tych pisarzy, którzy walczą o prawdziwie postępowe oblicze nowych Niemiec.

„CZYTELNIK“

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA

OSTATNIE NOWOŚCI

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Z KRAJU MILCZENIA

Powieść

Wyd. 3

Str. 278

zł. 350

ADOLF RUDNICKI

„Przejsie“

Znany już przed wojną autor, urodził się w 1912 roku w Zabnie nad Dunajcem. Jego debiut literacki przypada na rok 1932. Pierwszą powieść „Szczury“ zwraca na młodego autora uwagę krytyki literackiej. Szerze koła czytelników poznają nazwisko Rudnickiego w rok później, po ukazaniu się „Żołnierzy“, rewolucyjnej wojennych rekrutacji autora, w których z niezwykłą bystrością i wnikliwością obserwacji prześladują on środowisko żołnierskie. Książka ta, która w wiele lat potem autor nazwie „jednym szaleństwem“, narobiła wiele poczytnego hałasu poruszając opinię kół wojskowych i zwracając uwagę całego społeczeństwa na zło powych metod wychowawczych w wojsku.

W roku 1937 drobny literacki autor wzbogaca się o „Niekochaną“, pozytywnie ocenioną przez krytykę a w roku 1938 — o „Latę“. W 1939 roku publikuje Rudnicki „F. ofie i drobni żołnierzy“, które z fragmentarycznych ujętych postaci i powszednich wydarzeń budują sugestywny obraz życia wojskowego.

Powojenny cykl opowiadań, pod wyidealizowanym tytułem „Szekspir“, wyróżniony w br. przez jury nagrody „Odrodzenia“, zgońie uważany jest przez krytykę za jedno z najcenniejszych osiągnięć powojennej prozy. Tom ten zawiera szereg noweli, opowiadań, esejów. W „Szekspirze“ autor, nawiązując do tragicznych przeżyć Żydów w czasie okupacji, ukazuje najgłębsze motywy ludzkiego postępowania, zmuszając czytelnika do rewizji swego stosunku do najbardziej drażliwych zagadnień etycznych.



Książka klubowa: „Przejsie“, pełna żaru wewnętrzznego, jak wszystko co wychodzi spod pióra tego autora, jest powieścią, której akcja toczy się wokół wypadków pamiętnych Wielkanocy 1943 r. Bohaterowie i zdrajcy, milionery i nędzarze, szmuglerzy i medrzy — o o osoby tej książki. Zasadniczym jednak tematem powieści jest miłość. Miłość młodej dziewczyny, która przywraca zrywanowancu mężczyźnie wolę życia.

TADEUSZ BREZA

„Uczta Baltazara“

Urodzony w 1906 roku. Po skończeniu średniej wstąpił do zakonu Benedyktynów w St. André pod Brugą w Belgii. Po pewnym czasie opuszcza klasztor i kończy studia filozoficzne na Uniwersytecie Warszawskim.

Następnie pracuje jako sekretarz wydawnictwa prasowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, później jako attaché Ambasady Polskiej w Londynie. W tym okresie wiele podróżuje. Zwiedza Francję, Włochy, Niemcy, Holandię i d. Po powrocie do kraju pracuje jako sprawozdawca sądowy, a następnie jako redaktor działu sztuki i kultury w „Kurierze Porannym“. W roku 1936 wydaje u F. Hoesicka powieść psychologiczną „Adam Grywald“.

W okresie bezpośrednim przed wielką wojną prowadzi razem z T. Bęcym-Zelenim „Młody Teatr“, instytucję poświęconą popieraniu twórczości dramatopisarskiej w Polsce.

W roku 1946 wystawia w Krakowie sztukę (napisaną wspólnie z Stanisławem Dygatem), „Zamach“, o tematyce okupacyjnej. Sztuka ta była grana w większości teatrów polskich.

W tymże roku otrzymał pierwszą nagrodę tygodnika „Odrodzenia“ za najlepszy tom powojennej prozy: za powieść „Mury Jerycha“.

Tadeusz Breza przysięga o obecności dla Klubu „Odrodzenia“ powieść pt. „Uczta Baltazara“. Opowiada ona o ludziach, którzy niepoddańczo znaleźli się w nowych warunkach — wytrąconych z dawnego doświadczenia. Breza nie analizuje tego zagadnienia metodą psychologiczną, lecz obrazuje w szeregu charakterystycznych dramatycznych i tragicznych wydarzeń. Akcja powieści rozgrywa się w Warszawie na wsi i w małym porcie rybackim nad morzem. Wśród kilku wątków powieści wyróżnia się pierwszy plan: sprawa cernego obrazu Tintoretta „Uczta Baltazara“, zaginionego w czasie powstania i poszukiwanego przez właściciela w celu wywieżenia i sprzedaży za granicą.



Październikowy Numer „Twórczości“

Październikowy (10) zeszyt „Twórczości“ poświęcony jest w przeważnej swej części zbiorowiskom osiągnięć kulturalnych na ziemiach polskich w ostatnim roku.

Sprawozdania wybitnych pisarzy i publicystów dają żywy, interesujący przegląd piśmiennictwa w życiu umysłowym, artystycznym i organizacyjnym z najważniejszych dziedzin:

J. Włodarski pisze o teatrach Waiszawy; J. A. Szczepański, M. Porębski i R. Haubenstock refutują krytycznie widowiska teatralne, plastykę i muzykę w Krakowie; Wanda Karczeńska, St. Tęsiński i St. Szelińska omawiają życie artystyczne Poznania.

Drobny kulturalny Górny i D. Inego Śląska, Pomorza i Wieliczki opisują wczelstwie i wycieczki: Z. Hierowski, T. Lutęński, E. Kozłowski, M. Tu. Wid i K. Bzinas.

O rejonie Świętokrzyskim informuje J. M. Głog, a Lubelszczyznę — M. Boczyc-Rudnicka.

Całokształt zawartego w sprawozdaniach materiału sumuje ciekawy syntetyczny szkic K. Wyki pt. „Geografia kulturalna roku 1947/8“.

Z problemem kultury zagrożonej widmem nowej wojny wiąże się ciekawy wykład K. Wyki pt. „Kolumna, globus i Odra“, w którym autor dzieli się z czytelnikiem refleksjami, wrażeniami i obserwacjami z odbytego we Wrocławiu Światowego Kongresu Intelektualistów.

Na ciekawe wyróżnienie zasługuje praca J. Sieradzkiego pt. „Lenin w Polsce“, która zawiera ciekawe, nieznane dotąd dane, dotyczące studiów Lenina nad Feuerbachem w Bibliotece Jagiellońskiej.

W dziale „Net“ Józef Kopała referuje wyniki „Narady w sprawie upowszechnienia czytelnictwa“ (zorganizowanej przez „Czytelnik“).

— Stefan Morawski pisze o „Dialektyce przyciągania i odpychania“, a Ewa Korzeniowska o „Podstawowych założeniach poetyki marksistowskiej“.

Czy jesteś już członkiem

Klubu Literackiego

„ODRODZENIA“?

Książki Radzeczne i o Związku Radzieckim

ARMIA RADZIECKA Wybór artykułów str. 154	J. Perelman MATEMATYKA NA WESOŁO str. 160
A. Fiedjew MŁODA GWARDIA Powieść str. 672	A. Serafimowicz ŻELAZNY FOTOK powieść str. 240.
D. Furmanow CZAPAJEW Powieść str. 356	SFORT W ZSRR Organizacja — Rozwój — Osiągnięcia Praca zbiorowa str. 276
E. Jan STATEK FENICKI J. Jermaszow POLITYKA WALL-STREET str. 176	P. Werszyhera LUDZIE O CZYSTYM SUMIENIU Powieść. — Wyd. II. str. 468
Kraminow DRUGI FRONT Repertaż str. 264	WIERZĄCE I FIEŚNIE O ARMIJ RADZIECKIEJ str. 112
W. Linkow WOJNA NA TYŁACH WROGA Powieść. — Wyd. II. str. 303	R. Wolkow SAMOLOTY W WALCE str. 323
W. Niemcew NIEWIDZIANE DROGI str. 156	E. Wercbiow DUMA FIECHURA Opowiadanie żołnierskie str. 144
O FAŁSZERZACH HISTORII str. 96	ZSRR W CYFRACH Mapy i diagramy str. 32
zł. 100.—	zł. 220.—
zł. 790.—	zł. 400.—
zł. 390.—	zł. 650.—
zł. 230.—	zł. 160.—
zł. 310.—	zł. 430.—
zł. 400.—	zł. 180.—
zł. 60.—	zł. 80.—

Wydawnictwo „Prasa Wojskowa“

SZTUKA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

JANINA OSIŃSKA

Urok — Wrażenie — Sąd...

Gdy patyk, zwykły, szary patyk zmieni się w karego konia i poniesie dziecko w kraj fikcji, wówczas świat w zasięgu dziecięcego oka przestaje być światem dziwnym. Został ujarzmiony, podchodzi do rączki, jak oswojony zwierzę i potulnie bierze udział w zabawie, w pierwszej próbie twórczości człowieka. Stoi, który dotychczas składał się z niespodzianych niebezpieczeństw, z wrogich, twardych kantów i nieprzeznaczonych czterech nóg stojących ciągle w drodze, jest zwyczajnie, tylko stałem, ale może stać się każdej chwili przytulnym domkiem albo lasem iłus tam drzew... Każda rzecz, każda sprawa codziennego życia posiada tyle uroku, ile jej użył twórca fantazja dziecka.

Ale oto w kręgu świadomości dziecka pojawia się pierwsza książka. Świat wznosi się znów, jak balon kolorowy i pomyka po granicach uchwytliwości. Żółta plama na obrazku nie da się zamknąć w garści i zdziwione oko poznaje powoli, że tu, w jasnym skrawku złotego koloru i w gąszczu czarnych kresczek, jest ukryte — kurczątka. Zdziwione, oczarowane ucho słyszy słowa, których dźwięk odejty od czarnych znaków iłer brzmi inaczej niż dźwięk znanych codziennych słów. Uwaga skupia się poraz pierwszy na czymś, co działając na zmysły porusza je urokiem ponadmysłowym, urokiem nowych doznań.

A to jest już inny, tajemniczy świat, w którym wszystko dzieje się tak, jakby było o prądzie i w e, ale prawdziwie nie jest, nie powinno być. Złotki kurczak odkryte w tym świecie nie może być kurczakiem znanym z podwórza. Musi być wyobrażeniem złotej puszyczki, lekkości ptaszeczki, kruchości, piskłej bezbrębności. Musi przetrwać wzmiankę małe serce, obudzić wrażliwość, zjawiać się w nowej postaci. Kurczak odkryte z pomocą magii słowa, dźwięku, koloru — jest prawdziwsze od kurczęcia z podwórka.

Urok trwa. Mały palec pokazuje rozkazującą jakiś miejsce wśród czarnego rzędu liter: — Czytaj, tu czytaj! — ale po chwili zmienia rozkaz: — Nie tu, tu czytaj! — Pamięć zanotowała jakiś szczegół i dziecko chce ujrzeć raz jeszcze ten sam obraz, usłyszeć ten sam dźwięk.

Z czasem, z wiekiem, w miejsce podświadomego poddania urokowi, przyjdzie rozpoznawalne wrażenie. Rednie ono trwałe lub przemijające, poszukiwane jako wspomnienie

ANIELA MIKUĆKA

Funkcja książki szkolnej

O poziomie czytelnictwa masowego stanowi czytelnictwo dzieci i młodzieży i sprawa ta nie podlega żadnej dyskusji. Dopóki w sposób właściwy i racjonalny nie zostanie zorganizowane czytelnictwo najmłodszych oraz młodzieży i starszej młodzieży — dopóty poziom czytelnictwa masowego, wyrobienie smaku literackiego, osiągnięcie twórczego i trwałego stosunku do książki będzie bardzo trudne do zrealizowania i będzie czyniło stosunkowo powolne i nikłe postępy. W naszych warunkach akcja musi iść jednocześnie dwoma torami: drogą krzewienia masowego czytelnictwa dorosłych i drogą organizowania czytelnictwa młodszych. Należy pamiętać, że zagadnienie to nie jest zagadnieniem odrębnym i specjalnym, ale stanowi organiczną całość z ogólnym zagadnieniem czytelnictwa. Obydwa aspekty tej samej sprawy uzyskają tylko na tym: sprawa czytelnictwa młodszych nabierze większej wagi i znaczenia i pogłębi się, sprawa czytelnictwa masowego dorosłych zdobędzie solidny grunt i szersze, realniejsze perspektywy na przyszłość oraz socjologicznie i psychologicznie uzasadnione podstawy rozwoju.

„Pierwsza książka” jest w tej konfiguracji spraw zagadnieniem kapitalnym, gdyż w ogromnej większości wypadków decyduje o całym późniejszym stosunku do książki. Pomijam tutaj całkowicie tych, którzy bez względu na „pierwszą książkę”, bez względu na warunki zewnętrzne są z tych czy innych powodów desygnowani na dobrych czytelników. W niniejszych rozważaniach chodzi mi tylko o tego czytelnika, który stanowi pierwszą troskę organizatorów upowszechnienia książki, dla którego właściwa pomoc, odpowiedni kierunek, racjonalne ułatwienia stanowią warunek sine qua non

związania go na całe życie z książką.

I tu właśnie dochodzimy do sprawy książki szkolnej, której funkcja bywa najczęściej charakterystyczna cokolwiek jednostronnie o tym samym zważana i zniekształcana z wielką szkodą dla całości zagadnień czytelnictwa masowego. Mianowicie nie ulega wątpliwości, że w naszych warunkach „pierwszą książką” olbrzymiej większości dzieci — jest właśnie książka szkolna. Dziecko wiejskie, a częściowo i dziecko robotnicze, nie styka się w okresie przedszkolnym z książką dla siebie, nie widzi jej w domu, nie jest ona jedną z zabawek i rozrywek wieku dziecięcego (gdyż jest jeszcze to w dalszym ciągu najczęściej przywilejem niewielkiego kręgu małych odbiorców), nie stanowi ona jego własności, a głoszenie czytania książki dla najmłodszych jest najzupełniejszą rzadkością. Pierwszą więc książką jest książka szkolna — której funkcja jest bardzo prosta i oczywista i w pewnym sensie zupełnie łatwa do zrealizowania: pomoc w nauce i droga do czytelnictwa w ogóle.

Widać więc z tego, że nasunąć się tutaj muszą dwa zagadnienia: racjonalnego posługiwania się książką przy nauce — co uzależnione jest z jednej strony od jakości książki i od dydaktyki i właściwego ukształtowania, stosunku do czytania w ogóle, tzn. otwarcia perspektywy na świat książek, na samodzielne ich szukanie i czytanie — oraz wiązanie z życiem i budowaniem „światopoglądu”. Trudność tej sprawy leży m. in. w tym, że pierwsza książka szkolna i nawet książki następne, a przeznaczone do nauki, obciążone są szeregiem minusów, których przewyższenie jest konieczne dla trwałego zwią-

Chłopiec, lat 12, ze środowiska robotniczego

Lubię czytać dużo, czytam książki, można powiedzieć, że przeczytałem około 400 książek — 1 na tydzień może. Traf był, jak tylko do łobka wstąpił — mamusia pracowała w łobku, była praczką, — mamusia nauczyła mnie czytać. Napisala mi wyraz „mama” i nie mogłem przeczytać. Na drugi dzień już lepiej czytałem i potem było coraz łatwiej. Jak poszedłem do szkoły, już umiałem czytać bardzo szybko czytałem... (poszedł do szkoły mając 8 lat).

„Kiedy byłem mały, mamusia mi czytała. Lubiłem zawsze słuchać. Bajek mi w ogóle nie opowiadało, mamusia od razu czytała poważniejsze książki dla dzieci od 7 do 8 lat, nie były to bajki tylko o tym, jak Janek walczył z Niemcami, o partyzantach, o poruczniku, który był lojotnikiem w 39 r. Miałem własnych 6 książek: „Dzieci pana maj-



stra”. „Podróż Janka naokoło świata”, „Młodzi gwardziści”, „Olszanka Grochowska”, „Pod Staczką”, „Siedem i Królów”. Ale już nie mam, spaliły się w czasie powstania.

Te książki mamusia mi kupowała. Nigdy zabawek mi mamusia nie kupowała, tylko zawsze książki — bo ja wolę książkę niż zabawkę. Gdyby jednak mi się kto zapytał, czy wolę szybko, tak, o się puszcza, czy książkę, to już bym wolął szybko, bo mam do tego



rys. J. Karol

Wypowiedzi dzieci o pierwszym spotkaniu z książką^{*)}

Dziewczynka, lat 13, ze środowiska robotniczego

Dziewczynka robi wrażenie opóźnionej w rozwoju i zaniedbanej. Nie lubię czytać, mało czytam. Nauczyłam się czytać jak miałam około 10 lat. Nikt mi nie opowiadał bajek ani historyjek, ani siostra, ani mamusia, ani tatuś, ani poza d mem... „Mam tylko dwie książki: „Jaś i Małgosia” i... zapomniałam tej drugiej... o Bałtyku coś. Kupiłam sobie, bo były na wystawie po 20 zł, takie małe, a miałam wtedy pieniądze, więc kupiłam. Nie miałam książek, więc chciałam mieć. Stały na wystawie, więc powiedziałam, że proszę te. Podobały mi się, wołałam „Jasia i Małgosię” — tej o Bałtyku jeszcze nie czytałam. Leży — nie mogę się do niej zabrać...

Chłopiec, lat 13, z rodziny urzędniczej

Lubię czytać, nie raz wolę sobie p- czytać, niż mam wyjść. Dużo czytam, 5 — 7 książek na miesiąc. Nauczyłem się czytać (chłopiec utożsamia „czytanie” z „zainteresowaniem” książkami”), kiedy byłem chory, przeziębienie się — nie lubiłem czytać, leżałem, jakaś książka była z obrazkami, więc przejrzałem ją i zaczęłam czytać kawałkami — bo nie było objaśnień pod obrazkami i nie wiedziałem, co to znaczy. Ale i kawałków nie mogłem zrozumieć, bo oderwany sens był, więc całą zaczęłam czytać. Było to „W pustyni i w puszczy”, podobała mi się; gdybym może natrafił na taką, która była brzydka, to może bym i nie czytał — najgorzej to zacząć. Przedtem też czytałem, ale wołałem wyjść latać, niż czytać. Od tamtej pory zaczęłam czytać książki. Zawsze oglądałem najpierw obrazki i jak były ciekawe to czytałem kawałkami, a potem od początku i zawsze czekałem z niecierpliwością, kiedy dojdę do tego kawałka, który już czytałem.

Chłopiec, lat 13, ojciec — handlarz galanterią

Ojciec zginął w czasie okupacji, matka handlowała — rozosił drobna galanterię po sklepach i straganach. Przeważnie nie ma jej w domu.

Nie lubię czytać, książki nie zajmują mnie. Jakby była wojenna, to by mnie ciekawiła, brat nie raz mi opowiadał taką wojenną, jak przeczytał — z czytelni bierze — ale ja nie mam ochoty czytać. Gdyby mnie książki zajmowały i gdybym miał czas, to bym

sobie wziął i czytał, ale stale muszę lekcje odrabiać, pomagając w domu. Lubię grać w piłkę. Jak miałem 10 lat — poszedłem do szkoły — nie mogłem wcale nauczyć się czytać, dopiero jak poszedłem do II kl. nauczyłem się powoli, powoli czytać. Babcia raz opowiadała jedną bajkę, o sierotce, która miała ojca, matka jej umarła, ojciec się ożenił z inną, która miała córkę — ojciec umarł, a wtedy ona została z macochą, która dla niej była niedobra. Książkę mamusia raz czytała na głos, o powstaniu czy o wojnie — interesowały mnie, słuchałem, nareszcie usnąłem.

Wolę, żeby mi opowiadać, nie chce mi się czytać książki, tak długo trzeba ją czytać i czytać jak zaczęłam czytać z początku, a nie podobają mi się, to już nie czytam, a jak ciekawo, to w niej nie będzie ciekawego, więcej w grubej może być ciekawego niż w cienkiej.

Wolę jak ktoś opowiada, nie lubię, jak czyta.

Dziewczynka, lat 15, ze środowiska inteligencji urzędniczej

Będąc małą dziewczynką żywo interesowałam się książkami. Z początku interesowały mnie o braki i to, co pod nimi było napisane. Mając 3 lata lubiłam bardzo loteryjki obrazkowe. Zazwyczaj były na nich kotki, piesiki i inne zwierzęta domowe. Opowiadano mi również bajki. Jedną z pierwszych była bajka o dumnych koczach, które spotykały się na moście. Kiedy byłam starsza, zaczęłam zwracać uwagę, skąd się biorą opowiadania. Mówiono mi wtedy, że z książek. I wtedy to, pragnęłam koniecznie nauczyć się czytać.

Opracowała hj

*) Materiały Referatu Literaturoznawstwa dla Dzieci i Młodzieży (Dop. Twórczości Artystycznej Ministerstwa Kultury i Sztuki). Badanie prowadzone pod kierunkiem Ireny Skowronkówny.



rys. J. Karol

KRYSZYNA KULICZKOWSKA

Rozśpiewana bajka

W naszej literaturze dla dzieci mamy niejedną baśń zrodzoną z poenki ludowej, choćby, nie szukając daleko, w twórczości Rogoszyńskiego, Porazińskiego... Nasty prostej pieśni unoszą się nad kolebką dziecka, niemiłosiernie przekształcają w obraz i nieskomplikowaną fabułę w miarę rozwoju małego słuchacza. Naïwne elementy treściowe spływają w tok opowieści, rytm powtarzających się refrenów wyznacza schemat konstrukcyjny. Twórczość dla dziecka, rozbudowana z „prymitywnej” pieśni, jest naturalna i świeża, pozbawiona sztucznej literackości i manier, psychika dziecka otrzymuje w tej formie pokarm zdrowy, tematykę, która budzi żywy oddźwięk, rozszerza skalę jego przeżyć.

W twórczości Hanny Januszewskiej związek z motywami pieśni jest o wiele bardziej istotny niż u autora znanego powyżej naturalna i często dająca się zaobserwować zależność. Pieśń jest dla niej nie tylko bodźcem twórczym, lecz przenika wewnętrznym rytmem jej poetycki język, jest żywiołem, który porusza za sobą całą nie tematyczną, staje się sama w sobie celem.

Leżą przede mną trzy spośród pięciu wydanych po wojnie (przeważnie wznowienia) książek Hanny Januszewskiej: „Jawor, jawor” (Czytelnik, 1947), „O chłopcu drewnianym” (PZWS, 1947) i „Siwa gaska siwa” (Nasza Księgarnia, 1946). Każdy ze zbiorów zawiera kilka małych poematów fantastycznych — autorka te właśnie formy doprowadziła do mistrzostwa. Rzecz charakterystyczna: na dwadzieścia jeden opowiadań, które składają się na trzy wyżej wymienione książki, motyw pieśni nie występuje tylko w jednym, we wszystkich pozostałych gra rolę większą lub mniejszą. W niektórych jest to tylko jak gdyby rodzaj pointy, w innych stanowi podstawowy motyw konstrukcyjny i treściowy.

Marysia, która nie może znaleźć zgubionych gąsek, przyzywa je „polną, cichą, rzewną piosenką” i poszukiwania jej zostają uwiecznione skutkiem, z wiejskiej karczmy „piosenka rzewna, piosenka czuła bie w górę, aż do pulapu”, nadzwyczajne słowki odzwierciedlają się „nutką misterną, pieszczoną”, świąteczne za koniem tworzą całą kapelę: „A tu cicho, cichuteczko piśnie świąteczne jak pieszczalcza; drugi huknie głosem wielkim między ciepłe, ciemne belki... i mazurki i hejnalu bily z izby pod powyły!”

Ale piosenka to jeszcze nie wszystko, bowiem „to buńczuczne polskie granie” nie znosi obok siebie biernych słuchaczy, lecz „wszystkich kusci w tancie”. W baśniach Hanny Januszewskiej tańczy Kuba Jurek wraz ze świerkiem na krzywej nodze i świeżo upieczonym mazurkiem w rytm piosenki dolatującej z karczmy, dwa Michały „przełataczyli wieczór krótki, roztańczyli w strzępy butki”, pekatu pyła poszła w tancie z samym wódem, stodoła hula w tancie z wicherem-oberwańcem, a słomiane chochoły rozweselały małego Marcinka grając na skrzypkach pioseneczki piskające, skakające, weselące i posuszające w płasy „to skoczne, to posuszające, szeleszczące, zamaszyste”.

Te ciągle powracające w coraz to innych wersjach motywy piosenek, ten ciągle wysnuwający się z akcji rytm tańca ma w sobie coś urzekającego, jest w tym jakiś poryw niemal irracjonalny, rozszalała ramy konstrukcyjne tych małych, stylizowanych poematów. Mitologiczny urok płynnego ru-

chu i rozkolysanego dźwięku opiera się o brzęk zwrotek, nabiera regularności, związany monotonna melodią wiersza, nie przestaje jednak kipieć zmysłowym nasyceniem, promieniować aż egzotycznym oparem rozśpiewanej i roztańczonej swojszczyzny...

Twórczość baśniowa Hanny Januszewskiej jest jednym z nielicznych w naszej literaturze dla dziecka przykładów sztuki kształtowanej nie w oparciu o — lepiej lub gorzej maskowany — pion dydaktyczny, lecz powstałej z bożej łaski, z artystycznego widzenia świata, z radoznego upojenia się jego urokiem dzisiejszym i minionym. Te baśni tych nie da się odczytać żadnych dyktawek postępowania, nie sugerują one żadnych moralnych nakazów, bowiem gdy rozśpiewana gospodyni chowa roztańczonego mazurka do szafy, a Kuba-Jurek pod pierzynę, dźwięki muzyki dobiegającej z karczmy docierają nadal do jego uszu, one są silniejsze, urok ich trwa... Ten prawdziwy, nie wprężony w służbę wychowawczej tendencji artysty, zapisujemy na dobro autorki, smak estetyczny dziecka jedynie na tej drodze może się wykształcić i wysubtelnić, a jednak...

Czy po tej drodze poddania się urokom pieśni można iść dalej? Czy nie grozi autorce powtarzanie samej siebie, lub oddalenie się na takie peryferie poetyckie, gdzie panuje maniera niezrozumiała i nieskoordynowana fantastyka? Czy z drugiej strony świadome upraszczanie własnego dorobku środków artystycznych nie doprowadzi do spłycenia twórczości, zredukowania jej do tużinkowych, zaledwie poprawnych wierszyków, których nie ma już ostatnio napisać dobre autorki okresu międzywojennego?

Dylemat nielaty, który można rozstrzygnąć tylko na drodze ambitynych prób. Stoi on przed wszystkimi autorkami, którzy mogą poszczęśliwie dorobić sprzed lat kilkunastu, lecz dalej, w imię dobra własnej sztuki, nie mogą już tą samą drogą podążać. Prawdziwe niebezpieczeństwo nie grozi jednak tym, którzy szukają świadomości nowych dróg, a do nich należy Hanna Januszewska.

Krystyna Kuliczowska

NOWOŚCI WYDAWNICZE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Mato Lovrak. Dzieci wielkiej wsi. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 100 i 4 nł.

Irena Krzywicka. Dzieci wśród nocy. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 179 i 1 nł.

Irena Ruszkowska. Chrabąszczowe wakacje. Z 8 ilustracjami. Warszawa, „Czytelnik”, 1948; str. 59 i 5 nł.

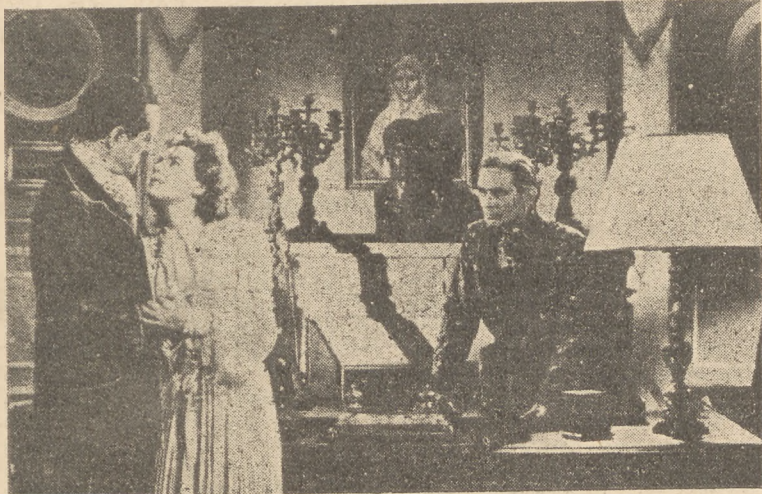
Polska i Świat Współczesny. Biblioteka Młodzieży. 6. Ewa Szemberg-Zarembina. Dom w elki jak świat. Wydanie czteronastkie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1948; str. 80.

Wanda Wasilewska. W pierwotnej puszczy. Z ilustracjami Franciszka Pareckiego. Warszawa, „Książka”, 1948; str. 165 i 3 nł.

Polska i Świat Współczesny. Biblioteka Młodzieży. 60. Jan Wiktor. W górskim słońcu. Z rysunkami Danuty Skawińskiej. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1948; str. 78 i 2 nł.

Aniela Mikućka

Film • Film • Film • Film



Scena z filmu „Przygoda na wakacjach”

„Przygoda na wakacjach” film francuski

Czy łatwo sobie wyobrazić bohatera Turgieniewa, jeżdżących ultra-aerodynamicznym Renaultem, model 1946? Nie, nie łatwo.

Tak, jak nie łatwo od początku pogodzić się z tym, co wyreżyserował wybitny człowiek kina, Pierre Blanchar. Siegnął on bezceremonialnie po powieść Turgieniewa z pięćdziesiątych lat ubiegłego stulecia, wskrzesił młoty przeszłości, ubrał w luźne marynarki i kostiumy kąpielowe, zaodulował i zainstalował je... pod Marsylią.

Po „Symfoni pastorałnej” jeden z największych krytyków francuskich Georges Sadoul zaatakował Blanchara, odmawiając mu marki wybitnego artysty. Gdyż bardzo mu się Blanchar jako pastor nie podobał. Po „Przygodzie na wakacjach” zaczynamy przypuszczać, że Sadoul nie ma racji. Gdyż bardzo mi się Blanchar, jako reżyser i twórca przeróbki, nie podoba.

W pełnym wyżej paradoksie nie ma błędów logicznych, czemu — wyjaśnię.

Umyślnie podkreśliłem odruchowy opór, jaki opanowuje widza, który dowiedział się o zperwowaniu Turgieniewa. Bo stąd zaledwie krótki jeden do absurdu. Uczynmy go. Tak tedy subiektywny i impulsywny krytyk nawołujący może do sfilmowania „Zemsty”, jako historii rywalizacji dwu wsi społecznie nionych, lub „Polpu”, którego ak-

„Czapajew” film radziecki

Powiedzmy od razu: jeden z najlepszych.

Pokazany niemal na zakończenie festiwalu filmów radzieckich, robi wrażenie urzekające. Film biograficzny w całym tego słowa znaczeniu.

Imponuje od pierwszych momentów, że realizator trzymał się ściśle prawdy historycznej. Już to jedno — według pojęć amerykańskich — może, a nawet musi położyć film. Pamiętam, jak preparowano biografię Marii Curie-Skłodowskiej, czy Emila Zoli, które wydawały się nie doświadczone, czy nie dość wymowne.

W „Czapajewie” nie poświęcono ani razu prawdy dla najdoskonalszej nawet poiny, dla łatwego patosu, czy taniej dydaktyki. A nie trudno było o stworzenie martwego posagu z brzozy. Czapajew, ten legendarny wódz rodzący się Armii Radzieckiej, był aż nadto dzieckiem gwałtownej rewolucji, by jego postać mogła być wolna od cechy surowego prymitywizmu. Tak jest, dowódca czerwonej dywizji, w 1919 r. nie słyszał o Aleksandrze Macedońskim, a nawet nie wiedział, że był aż trzy Międzynarodówki. Czytał i pisał umiał od kilku lat zaledwie i wyobrażał sobie, że weterynarz i felczer mogą promować na doktora jego kuma, zwykłego konowala.

Mówiąc o filmie, że jest głęboko prawdziwy, mówi się tym samym (między innymi), że jest obiektywny. Umyślnie wspominać o drobnych śmiesznościach wybitnego człowieka, które w najmniejszej mierze nie wpłynęły na wielkość

W poprzednim 45 (296) numerze „Odrodzenia” z dnia 7 listopada 1948 r. Tadeusz Berowski: Ofensywa styczniowa. — Guillaume Apollinaire (przełożył Jan Kott): Wzgórza — Ralph Parker (przełożyła Kalina Wojciechowska): W 50 rocznicę założenia MCHAT — Atmosfery literackie. — Jerzy Miller: Poezja. Café-bar. — Literacki Wrocław XVII wieku: Julian Lewarski: Literaci wrocławscy przed 300 laty. — Jan Kuglin: Relacja typografa. — Aleksander Rombowski: W starym Wrocławiu. — Młk Raj Anand (przełożył B. Migaj): Zagubione dziecko. — Rogdan Zerkowski: Le château est vide! — Artur Marya Swinarski: Łódź teatralna. — Jack Fröhling: „Nadmiar pieniądza” — prapremiera nowej sztuki Bernarda Shawa. — Maria Rzeuska: Rozmowy o języku. — Książki: Przekłady (Puk z Pukowej Górki) — Rudyarda Kiplinga. — Jerzy Pławewski: Film: „Przećucie” film produkcji czeskiej. — Józef Mirczek: Wiednia — wystawa plakatów — Camera obscura. — 26 ilustracji. — 8 stron.

cja toczyłaby się w 1941 r. w Warszawie. Siłowisko takie byłoby pływające, niż się wydaje. W Anglii, gdzie każde słowo Szekspira ucnodził niemal za świętość narodową, poważano się pokazać Makbeta we fraku, a generała Otello we francu koloru khaki. Gdyż problemy są nieśmiertelne.

Zatem pomyśl samej transpozycji nie jest zły. Jest do przyjęcia. I trzeba wiele odwagi, by się do tego wziąć. Ale Turgieniew nie jest Szekspirem i odjęcie mu kolorytu lokalnego odiera mu większą część racji bytu. Nie ratują sprawy wątpliwe wloty wizualne, wydobyt — bądźmy bezstronni — bez zarzutu.

Natomiast konflikt uczuciowy nie jest wolny od usterek. Wyjątkowo nie udało się Blancharowi, by bohaterki, dreczonej piekłem wizjami zazdrości. Sen jest prawdopodobny, niebawem logiczny i mimo dobrych, nierealnych fotografii wygląda na dalszy ciąg akcji.

Pierwsza część obrazu jest znacznie lepsza od drugiej. Widać to zwłaszcza po Marii Dea, która pomyślała miła i naturalna, a potem nie miła i naturalna, póki nie kazano jej śnić.

Gilbert Gil, młody korepetytor o szlachetnym sercu, jest bezsprzecznie wielką nadzieją francuskiego ekranu.

Jerzy Pławewski

STANISŁAW JERZY LEC

FRASZKI U MAŁP



I goryle i szympanse
mają swoje parlefranse,
swe kokosy i finanse
i wyznania i b'lanse,
swoje anse i romanse,
szaly swoje, pardystanse,
nory i pale de danse,
swoje szanse, mezaliance,
szmendefery, preferanse,
swe awanse, konesanse,
„Jupitery — swe tonanse”,
mordobicia i niuanse,
polityczne kontredanse,
małpy swe, homo szympanse...
L'onnys soit qui mal y pense!

O WYMOWIE

Cheesz być uwieńczony mówco wawrzynami?
Więc mów trzymając język za zębami.



PRAWDA

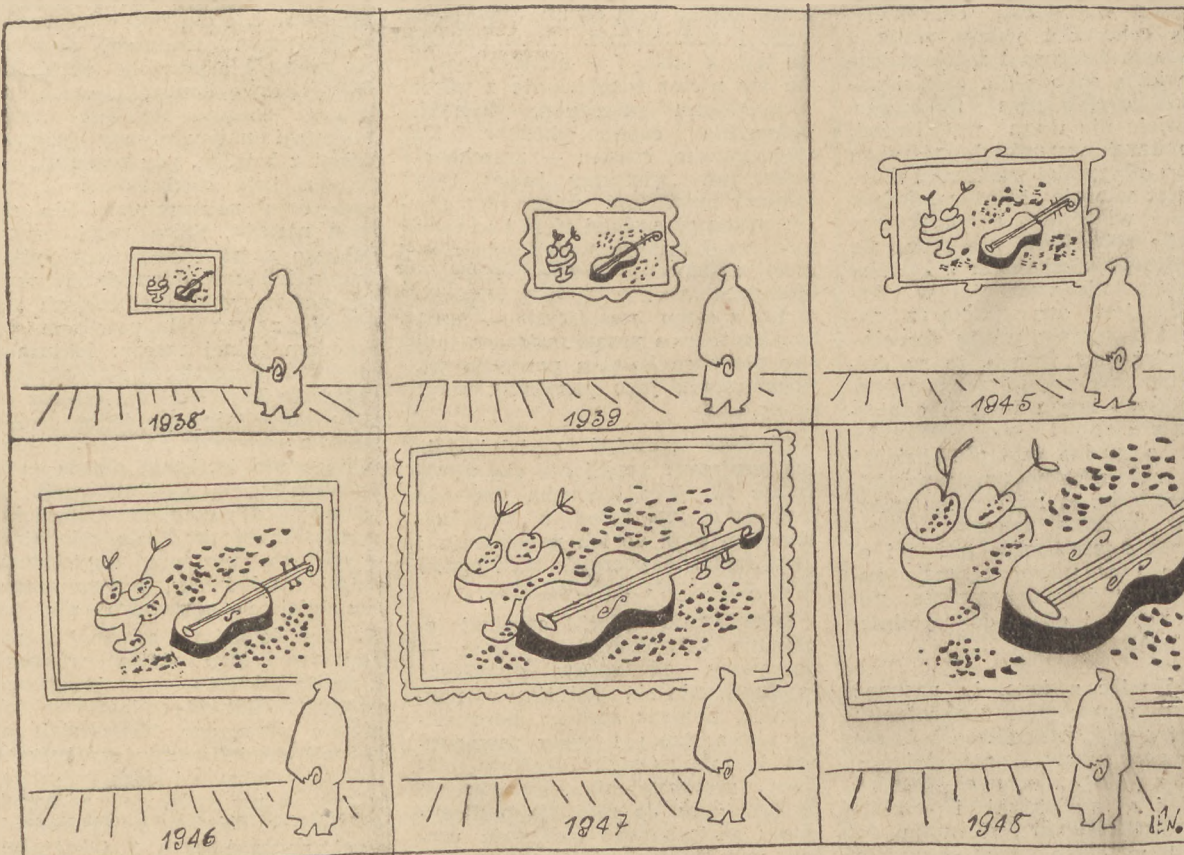
Prawda zwycięża.
Nie bez oręża.



O PRZEZNACZENIU

Ktoś kogoś w mordę wyrzwał, jak marzenie!
I westchnął ciężko i rzekł: Przeznaczenie.

Stanisław Jerzy Lec
ilustracje J. Srokowskiego



Rozwój malarstwa polskiego na salnach ogólnopolskich

rys. Jan Lenica

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia” z prośbą o współpracę w dziale „Camera obscura”. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującym się do „Camera obscura” pod adresem: Redakcja „Odrodzenia”, Warszawa, Daszyńskiego 16, dział „Camera obscura”. Ustęp taki należy wyraźnie oznaczyć, najlepiej kolorowym ołówkiem. Komentarze nie są potrzebne. Do przesyłki należy dołączyć mię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanych materiałów i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura”. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza nagrodę w wysokości 1000 zł, którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 w ubiegłym tygodniu przekazujemy na życzenie autora wyzyskania z „Niedzieli” na rzecz RZPD.

S. H. C. R.

W tygodniku katolickim „Niedziela” znajdujemy następujący wiersz, przeznaczony dla mas:

CARITAS

Gdzie śmierć i zniszczenie siał
Zbrodniczy, druzgocący szal,
Rozpętawszy orkan wojny,
W ducha Ewangelii zbrojny
Wszelkiej nędzy współuczający
Spieszysz balsam nieśmiej kochający

CARITAS.

Gdzie krzywdą jak zdradziecki gad
Do dusz zwątpienia saczy jad,
Niesie czyste niebios tchnienie,
Miłosierdzie, ukojenie,
Pobłażanie i współczucie,
Odczynnik na zatracie

CARITAS.

Gdzie kraj wyniszczyl bezmiar szkód
Odziewa nagość, syci głód,
O narodu przyszłość dbały
Wciąż dożywia wynędzniałych
Legionu działy, zaś przedszkoli
Jez pominąć nie pozwoli

CARITAS.

Gdzie srożył się teutoński kat,
Umysłowości skosił kwiat,
Chcąc narodu mózg zniweczyć,
Do istnienia praw zaprzeczając,
Tam oświaty wznosił kaganiec,
Jen na bój z ciemnotą szanując

CARITAS.

Gdzie zburzył i spłądował wróg
Złupieży przebogaty bród,
Plon kultury wieków mnogich,
Skarb zabytków sercu drogi,
Wszczytna dzieło odbudowy
Kraju z ruin na był nowy

CARITAS.

Gdy CARITASU myśl i czyn
Rozkrzewia się, to ludzkich win
Zatrą się następstwa zgubne,
Miłość zmieni samolubne
Serc uczucia na braterskie
Wyrzeczcie bohaterów
Pierwszych chrześcijan, którzy

CARITAS.

Swe rozłali na zlecenie
Chrystusowe, by dla siebie
Skarb bezcenny zyskać w niebie.
S.H.C.R.

Kto jesteś nieznaną a wielki poeta,
ukrywający się przed sławą doczesną
pod skromnymi inicjałami S. H. C. R.?

Komu co uolno?

W „Kuznicy” ukazała się nota, poświęcona „Camerze” i kamerzyście.

Autor noty, ob. „kbr.” ustala przy okazji co komu wolno, wytacza również dalszą linię rozwojową naszego działu:

Niechże kamerzysta „Odrodzenia” — pisma, które nieraz dało dowód poważnego stosunku do literatury — wyławia sobie dalej błędy korektorskie i potknięcia gramatyczne w prowincjonalnej prasie, niech je opatrzy dowcipnymi uwagami — to mu wolno. Ale, na miłość Boską, niech nie zabiera głosu w sprawach literackich, niech nie wydaje ocen o pisarzach, niech nie wyraża swoich gustów. Obejdźmy się bez tego. Z krytyką nie jest jeszcze tak źle, aby musiała korzystać z pomocy redaktorów „Camera Obscura”.

kbr.

W tej samej nocy kwestionuje ob. „kbr.” prawo kamerzysty do przemawiania w liczbie mnogiej, to znaczy w imieniu czytelników. Wyjaśniamy więc naprzód cierpliwie, że prawo to dają nam tysiące listów od naszych czytelników, którzy coraz częściej i tłumniej proszą o to, by „Camera” nie zajmowała się wyławianiem błędów korektorskich i gramatycznych w prowincjonalnej prasie, lecz właśnie tępieniem pewnych zjawisk w literaturze i dziennikarstwie, będących spadkiem po okresie międzywojennym, a wprowadzanych tu i ówdzie metodą drewnianego koma trojańskiego do naszej literatury powojennej. Te życzenia naszych czytelników wydają się nam słuszne i postępowe, tym bardziej, że są w zgodzie z poglądami krytyków i działaczy społeczno-kulturalnych bardziej kompetentnych niż ob. „kbr.”

O tym, jak bardzo należy liczyć się z sądem czytelników i o tym, jak często sądy te wyprzedzają sądy zawodowych krytyków, świadczy na przykład fakt, że na długo przed tym, nim uczyniła to krytyka zawodowa, umieszczyły „Szpilki” w swoim „Gabinie osobliwości” fragmenty pewnej prozy.

Jerzy Korwin

Do podobnych wystąpień należy list Jerzego Korwina, który — zamiast zrewidować swój sposób pisania — grozi sądem, lekceważąc sąd czytelników, którzy nie życzą sobie, by „krwawo stłumione” przez władze policyjne — jak pisze o tematyce swojej „powieści” ob. Korwin — strajku robotników łódzkich” nie uzależniać od „ciała Nacii pokrytego warstwą delikatnego tłuszczu...” (patrz poprzednia „Camera”).

Zdolność pocenia się

W dzienniku „Echo” czytamy:
DLACZEGO POCIMY SIĘ
ZE STRACHU

Wiadomo, że pod powierzchnią skóry człowieka znajduje się olbrzymia ilość (w niektórych wypadkach przeszło tysiąc na centymetr kwadrat.) małych, widocznych dopiero pod mikroskopem gruczołków potowych.

Zadaniem ich jest wydzielanie potu, wraz z nim innych substancji, przez co wspomaga się pracę nerek. Parowanie potu ochładza również skórę człowieka, spełniając w ten sposób rolę regulatora temperatury.

Dlatego jednak w chwilach dużego niebezpieczeństwa pokrywamy się — jak się to mówi — zimnym potem? — Tak jest, zimnym, bo nie wywołanym przez gorąco.

Właściwość ta, to odziedziczona po odległych przodkach — pozostałość sprzed lat tysięcy!

Wówczas to jedyną bronią człowieka była drewniana maczuga lub kamień. Napadnięty zniemacka przez groźne, dzikie zwierze — ówczesny nasz przodek nie miał wielkich szans zwycięstwa. Ucieczka często była niemożliwa.

Nie dziwnego, że tracił ze strachu przytomność. Upadał. Skóra jego powlekła się potem, stał się zimny.

Nieruchomo leżące ciało sprawiło na napastnika wrażenie trupa, a ponieważ drapieżne zwierzę często nie dotykały padliny — nie rzadko strach ratował życie.

Zrodzona niegdyś przed wiekami w bezlitosnej walce o byt zdolność pocenia się ze strachu — przechodziła się drogą dziedziczności aż do naszych czasów. (EM)

Niebezpieczniejszą od zdolności pocenia się, jest zdolność wypacania podobnych bzdur.